№ 10. Warszawa, dnia 8 Marca (25 Lutego) 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Szanownych abonentów naszych z prowincyi prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty kwartalnej, o ile można, bezpośrednio do administracyi naszej. Droga ta najpewniej zapobiega opóźnieniom i przerwom w odbiorze pisma.

100.000 marek.

Dalej z cienia na światło wszystkie duchy polityczne, wszystkie media spirytyzmu dziennikarskiego, które bezimiennie ukazywały się w pismach, zdradzając tajemnice planów ks. Bismarka! Jego przyboczny organ obiecuje, 100.000 marek temu polakowi, który przedstawi list kanclerza zapraszający go do Warzina! Jaki list?

Już go pewnie pamięć naszych czytelników wyrzuciła, jako niepotrzebny szpargał, ale przed kilku miesiącami przeglądaliśmy wspólnie niektóre jego ustępy. Przypomnijmy sobie kilka szczegółów. Krakowski *Czas* zamieścił rozmowę jakiegoś magnata polskiego z ks. Bismarkiem, dotyczącą w pewnej mierze naszej skóry. Ponieważ dziennik Stańczyków aż unurzał się w gorliwości o lojalizm i zawsze piętnował wszelkie zmyślenia, więc telegraf wierząc mu, rozniósł treść owego dyalogu po Europie. Chociaż *Nordd. Allg. Ztng.* zaraz owemu doniesieniu zaprzeczyła, przez kilka tygodni stanowiło ono temat rozpraw w prasie europejskiej. Nareszcie gwar ucichł, nie pozostawiwszy nawet w sercach redakcyi *Czasu* ani promyka ufności w słowa, które kanclerz niemiecki miał jakoby wrzucić w niedyskretne ucho polskiego magnata. Stara maksyma powiada, że człowiek najchętniej w to wierzy, czego najbardziej pożąda; nie dziwiliśmy się też dziennikom interesowanym, że przewiewały i przepłukiwały garść warzińskiego piasku dla wydobycia z niego ziarnka prawdy. Nam, pamiętającym zawsze o uczuciach i wywodach politycznych ks. Bismarka, ujawnianych nad Wartą, oraz o znanej wstrzemięźliwości w wynurzeniach, cała ta opowieść wydała się figlem starego lisa krakowskiego, który, korzystając ze swej powagi, chciał raz zabawić się w powiernika lwich zamiarów. Gdy za tę intrygę dostał cięgi, sądziliśmy, że sprawa jest załatwioną i nigdy nie zmartwychwstanie. Tymczasem nagle, bez żadnej potrzeby, *Nordd. Allg. Ztng.* wskrzesza ją i otrębuje następujące oświadczenie: Ks. Bismark nie zapraszał listem żadnego polaka do Warzina. „Kanclerz nie przypomina sobie wogóle, aby od wielu lat widział się, rozmawiał lub korespondował z jakimś polakiem. Upoważnieni jesteśmy do wypłacenia 100.000 marek temu, który odnośny list albo też tylko zaproszenie do Warzina okaże, autorowi zaś tej pogłoski — 100 marek nagrody. Oprócz hr. Bnińskiego, którego przyjazne stosunki z rodziną ks. Bismarka nie mają wcale barwy politycznej, a który przez pięć lat ostatnich nie bywał wcale w Warzinie, żaden polak nie był tam od lat piętnastu."

Cóż na to *Czas*?

Słuchajmy: „Zapewnić możemy, że pomimo potężnego umysłu kanclerza, pamięć go zawodzi, jeżeli mniema, że od kilku lat nie widział się, ani rozmawiał z żadnym polakiem, prócz z hr. Bnińskim. Gotowiśmy mu dowieść wprost przeciwnej rzeczy, jeżeli przyrzecze w takim razie złożyć sto marek na rzecz zabezpieczenia robotników w razie kalectwa. Co się zaś tyczy innych zaprzeczeń *Nordd. Allg. Ztng.* pomijamy je i nadal milczeniem, gdyż wobec powyższej naszej gotowości, małej są one wagi, dotyczą bowiem formy a nie treści; o formę zaś ani chcemy, ani możemy się spierać z tym dziennikiem lub z potężnym jego protektorem, zwłaszcza, że wobec nowego zbliżenia się Rosyi do Niemiec, nie byłoby to może ani roztropnem, ani bezpiecznem, a mniemamy, że sto tysięcy marek zbyt małą wyrządziłoby krzywdę skarbowi pruskiemu. aby ze strony polskiej ktokolwiek się o nie upomniał."

A zatem *Czas* zobowiązuje się za 100 marek dowieść, że ks. Bismark w ciągu lat kilku „widział się i rozmawiał" z innym jeszcze polakiem, niż hr. Bniński, resztę zaś zaprzeczeń „pomija milczeniem." Że *Czas* tego dowiedzie, jesteśmy pewni, bo niepodobna, ażeby kanclerz niemiecki nie „rozmawiał" i nie „widział się" z jakimś polakiem od lat pięciu. Nie za to wszakże wyznaczona nagroda, ale za *list*, zapraszający naszego rodaka do Warzina i tę to główną kwestyę *Czas* „pomija milczeniem" dlatego, że... „100.000 marek zbyt małą wyrządziłoby krzywdę skarbowi pruskiemu." Mniejsza o skarb pruski, ale taka suma przydałaby się w kraju, możnaby nią zapłacić część długu chłopów, zrujnowanych przez Bank włościański we Lwowie. Chociaż w królestwie Stańczyków pieniędzy nie brak, niech szanowne medium *Czasu* nie udaje dłużej ducha, niech wystąpi i powie: ja tego a tego dnia otrzymałem ten list od ks. Bismarka, zapraszający mnie do Warzina, teraz proszę mi wypłacić 100.000 marek, które przeznaczam dla... zrabowanej przez rząd włoski *Propagandy*. Po co tu korowody, ceremonie, gra w chowanego, po co cały spirytyzm dziennikarski, kiedy tak łatwo można i dużo zarobić i przekonać, że najpotężniejszy człowiek w świecie z naszym ziomkiem marzył o przyszłości!

Do tej chwili nie znamy odpowiedzi *Nordd. Allg. Ztng.* i nie wiemy, czy ona w imieniu swego pana zgodzi się na zakład z *Czasem* o 100 marek, czy też uprze-

się na żądaniu owego listu. W każdym razie mamy zapewniony może bardziej jeszcze humorystyczny koniec tej sprawy, niż był jej początek. I to zawdzięczamy organowi „poważnemu,“ drwiącemu z plotkarzów i elektryzatorów!

NAJNOWSZY STAN KWESTYI RASOWEJ.

Najważniejszym przedmiotem wszelkiej nauki politycznej czy społecznej, socyologii czy historyi, jest sam ród ludzki. Wszelki więc błędny pogląd na początki i rozwój ludzkości musi się stokroć grubszymi błędami odbić w dalszych wywodach i wnioskach naukowych dotyczących społeczeństwa i jego ustrojów. Że zaś w tych poglądach zasadniczych nauka dotąd grubo myliła się, że się oddawała fatalnym złudzeniom, tego najnowsze badania antropo- i kraniologiczne niewątpliwie dowodzą. Chcę dzisiaj mówić o kwestyi jednościowego czy wielościowego pochodzenia ludzkości.

W dawniejszych czasach w Europie pod wpływem tradycyi biblijnej i nauki kościoła bardzo nieśmiało tylko odzywać się mogły głosy utrzymujące *pierwotną różność* ras ludzkich. Kiedy jednak rozszerzony zakres wiadomości etnograficznych i antropologicznych zmusił uczonych do umiejętnego podziału ludzkości na odrębne gałęzie, czyniono to bez dotykania kwestyi *pochodzenia*, tylko jako klasyfikacyą ludzkości według istniejących i w oczy bijących różnic fizycznych. I tak pierwszy Blumenbach podzielił ludzkość na pięć ras, odpowiednio do pięciu części ziemi, biorąc za zasadę różność cery: czarną, etiopską; czerwoną, amerykańską; żółtą, mongolską—i białą, kaukaską*). Nie zadowoliwszy się zaś samą różnicą *cery* szukał Blumenbach w tych pięciu rasach także różnic *czaszki* i zdawało mu się, że takich pięć jej typów odrębnych znalazł. Powiadam, zdawało mu się, bo nowożytna kraniologia wykazała złudzenia Blumenbacha.

System jego nie mógł się utrzymać. Antropologowie bowiem wynajdywali coraz więcej odmian i nie mogli dopatrzeć żadnej jednolitości w obrębie tych pojedynczych ras Blumenbacha. To też zaczęto coraz więcej i coraz dalej dzielić, coraz nowe przyjmować zasady. Najprzód francuzi Lacépède i Duméril dodali do poprzednich pięciu ras szóstą: hyperborejską; podczas kiedy inni natomiast przyjęli australską i papuaską. Ale w miarę dalszych badań przybywało coraz więcej cech odrębnych, coraz więcej zasadniczych znamion w obrębie tych, niby to jednolitych ras. A więc Bory przyjmuje już 15, Desmoulins—16; aż wreszcie słynny antropolog niemiecki Waitz, autor znakomitego: *Antropologie der Naturvölker* oświadczył, że niepodobna jest dzielić ludzkość na rasy, bo „za dużo by ich wypadło;“ że chcąc klasyfikować według stałych cech, trzebaby albo wrócić do dawnego (niedostatecznego) podziału Cuviera na trzy rasy, t. j. mongołów, murzynów i kaukaszczyków, albo też przyjąć „kilkaset ras.“

Do tej ostatniej konsekwencyi prawowierny trochę i bojaźliwy uczony niemiecki posunąć się nie chciał. Szczęściem, Ameryka nie znała skrupułów europejskich i prawdę naukową kładła wyżej, niż wszelkie niby „etyczne“ względy. Antropologowie amerykańscy: Nott, Gliddon i Morton przyjmują odpowiednio do faktów oczywistych, nadzwyczaj wielką, dotychczas niedającą się oznaczyć liczbę ras ludzkich, *przechowujących się stale* i nie przechodzących w inne.

Teoryę tę przyjęli europejczyk Agassiz, który długo bawił w Ameryce; w Niemczech zaś Karol Vogt i wielu innych stali się jej wyznawcami i krzewicielami.

Co więcej jednak, postępujące ciągle w Europie badania antropologiczne w najrozmaitszych kierunkach, a więc i czaszek pod najrozmaitszymi względami, włosów oraz statystyczne obliczanie stosunku barwy włosów i oczów itp. poszukiwania stwierdzają coraz wyraźniej i dobitniej teoryę amerykańską wielości ras a zarazem dziedzicznie utrzymującej się trwałości ich znamion, *bez względu* na narodowość, bez względu na przynależność do etnograficznych, politycznych lub społecznych grup. Ostatecznie antropologowie europejscy, głównie zaś kraniologowie doszli dziś do rezultatu, że nie ma tak odosobnionego w świecie zakątka, gdzieby nie można skonstatować przynajmniej *kilku* odrębnych, *stale* się utrzymujących ras obok siebie, w łonie jednej i tej samej nawet *gminy wiejskiej* — nie mówiąc już o szczepach i narodach. Badania te na wielką skalę podejmuje w ostatnich latach słynny kraniolog niemiecki Kollman, profesor uniwersytetu w Bazylei. W „Pamiętniku szwajcarskiego towarzystwa przyrodników“ z maja 1881 ogłosił on „Statystyczne badania nad barwą oczów, włosów i skóry młodzieży szkolnej w Szwajcaryi.“ Rezultatem tych badań jest, że w Szwajcaryi dotąd najmniej *trzy* różne rasy żyją obok siebie i w zmieszaniu. Do podobnego wniosku doszedł Virchow, tak że Kollmann słusznie powiada, iż „takie samo zjawisko powtarza się w Niemczech, w Europie środkowej i zachodniej. *Te same* rasy w nowych zawsze kombinacyach występują tam w ustrojach narodowych. Warstwami wsunęły się one do Europy jedne na drugie — jak często? — tego dziś orzec nie można. Z tej pstrej mieszaniny dadzą się dzisiaj tylko rozpoznać *rasy*“ (za pomocą danych kraniologicznych i antropologicznych), ale trwałość ich jest tak wielka a z drugiej strony to, co Kollmann nazywa *penetracyą* odbyło się na tak wielką skalę, że w jednej i tej samej rodzinie możemy spotkać i spotykamy niewątpliwych przedstawicieli ras odrębnych.

Tę samą teoryę potwierdziły badania kraniologiczne, przedsięwzięte przez Kollmanna nad 200 czaszkami. wydobytemi z przedhistorycznych grobów Szwajcaryi. Ciekawe są jego uwagi wstępne: „Bardzo rozpowszechnionem jest mniemanie, że naród, noszący piętno jednolitości, składa się z potomków jednej rasy. Przytem czynimy zwykle to wyraźne lub milczące przypuszczenie, że klimat, żywność, słowem zewnętrzne wpływy, wreszcie także pewne wyobrażenia psychiczne nadały tej ilości ludzi jednakie piętno. Przyjmujemy nawet, że i z różnorodnych ras ludzkich pod wpływem tych czynników mogłaby z czasem powstać jednolita rasa w znaczeniu zoologicznem — potrzeba na to tylko dostatecznego przeciągu *czasu*. Nie darmo nauka Darwina rozeszła się po świecie... Zapytajmy jednak kraniologii, co ona o tem sądzi? Wszak tu idzie o znamiona antropologiczne, o piętna fizyczne, o cechy czaszek i kości! Otóż, nie można zaprzeczyć, że między pewnemi grupami *szczepowemi* istnieją pewne *cielesne* różnice. Między francuzami, niemcami, rosyanami i anglikami zachodzi rzeczywiście różnica cielesna i każdemu zdaje się, że ją zna. Trudność leży tylko w namacalnem jej określeniu. Jak tylko jednak zabieramy się do porównywania osobników tych różnych narodów pod względem kraniologicznym i anatomicznym, dawna pewność nagle znika. Odrębne piętna rasowe, które wydawały się tak jasne i wybitne, dopóki w abstrakcyjnem wyobrażeniu przeciwstawialiśmy jeden naród drugiemu — blednieją. A jednak postać anglika blondyna o podłużnej twarzy i wyso-

*) Piąta? Malajska? *Red.*

---

⁷)

Wspomnienia o Heinem.

X.

Widzimy, że źródłem większości zboczeń towarzyskich Heinego było jego małżeństwo z Matyldą a raczej jego szalona dla niej miłość. Na nic się nie zdało, że w duszy uznawał brak sądu, płochość i nieokiełznaną, nerwową popędliwość swej żony, w rzeczywistości, w kłótniach brał jej stronę i waśnił się z jej powodu z najlepszymi swymi przyjaciółmi. Czyliż i ze mną nie zakończył poróżnieniem się, po piętnastu latach wypróbowanej przyjaźni, nie wysłuchawszy mię nawet? Co prawda, nie zależało mi na tem, żeby być wysłuchanym. Historya z Meyerbeerem zdarła z niego urok i zostawiła w mem sercu grot.

Ale nie doszliśmy jeszcze do r. 1854. Z wszystkiego tego można wyciągnąć ten morał, że nie należy kupować dziewic, które nazajutrz po utracie swej niewinności oświadczają, że nigdy cię nie opuszczą, i ten także, iż każdy czyn niemoralny nosi w sobie i karę i pokutę. Co prawda, możnaby mi odpowiedzieć przy tej sposobności: niechaj ci, którzy odtrącają piękne ośmnastoletnie dziewczyny, rzucą na niego pierwsi kamieniem. I ja także, na początku mej znajomości z Heinem, kochałem dziewicę, której przyrzekłem, że ją poślubię. Tylko państwo Heine znali tajemnicę mej miłości do Zuzanny. Matylda nieraz przychodziła do nas zabierać mię na obiad, w rzeczywistości jednak czyniła to dla zobaczenia Zuzanny, która była córką gospodyni, u której mieszkałem i dla przekonania się, czy istotnie była tak piękną, jak utrzymywałem. Ale nie kupowałem jej. Kochaliśmy się i przyrzekliśmy sobie, że się pobierzemy. Nie żyłem z nią publicznie, miłostki nasze były tajemne; nie znała ich nawet matka. Ale byliśmy biedni oboje i wyczekiwaliśmy chwili, w której moje środki pozwolą mi ją poślubić. I kiedy, po trzynastu miesiącach musowej nieobecności, sądziłem, iż je znalazłem i prosiłem matkę o rękę córki, a ta mi ją oddała, Zuzanna do jej listu wsunęła kartoczkę, zawierającą wyrazy: nie jestem już godna być twoją metresą, ani twoją żoną! Sądząc, żem ją zdradził, przeniewierzyła mi się. Heine słusznie mi powiedział, żem był szczęśliwym urwisem, że mi się udało.

Gdyby on, przed kupieniem Matyldy na wiarę jej piękności, był mieszkał w jej domu, jak ja w domu Zuzanny, gdyby był lepiej znał jej charakter, może byłby się cofnął. Kupić sobie piękną, niewinną istotę, ażeby ją opuścić lub nawet po pewnym czasie zbyć innemu, to zbrodnia obrazy cnoty. To nie miłość, to rozpusta. Heine nie zamierzał zapłacić za piękność Matyldy krwią swego serca, lecz pieniędzmi swej sakiewki. Na tem polegała jego zbrodnia i srodze też ją odpokutował. Los zemścił się na nim szaloną miłością, którą mu wszczepił w serce. Matylda nie była pierwszą, ani ostatnią, ale pomściła wszystkie i, rzecz ciekawa, pomściła je właśnie swoją cnotą.

Nic straszniejszego nad kobietę cnotliwą bez dystynkcyi i rozumu. Lepszą od niej sto razy zalotnica rozumna i rozgarnięta. Rzecz szczególna! Pani Heine nigdy nie poróżniła swego męża z rywalką, którą przyjmowała z głupotą, lub jeśli kto woli, znaiwnością u swego stołu, ale poróżniła go z wszystkimi przyjaciółmi, którzy nie ubóstwiali jej samej, jakkolwiek ona nigdy nie kochała żadnego z nich.

Ludwik Wihl, mierny rymopis, szaleniec, który się uważał za pierwszego poetę na świecie i który, do pewnego stopnia, wpoił z powodzeniem to przekonanie w wielu

kiej szyi odbija tak jaskrawo od niskiego o ciemnych włosach francuza! Co więcej, te odrębne piętna schodzą do coraz mniejszych zbiorowisk i grup społecznych. W Szwajcaryi każdemu się zdaje, że najpewniej odróżnić może berneńczyka od bazylejczyka lub obywatela Zurichu a ludzie wiarogodni zapewniają, że nawet chłopów z pojedynczych wsi po pewnych cechach rozpoznać umieją.

Tymczasem kraniologia znajduje wprawdzie odmiany wyraźne, niewątpliwe piętna, któreby mogły dostatecznie wytłomaczyć różnice narodowe: ale cóż, kiedy piętna te pokazują, że również w jednej i tej samej rodzinie natrafiamy na największe kontrasty rasowe. Nie powstały one przez dobór lub przystosowywanie w myśl teoryi Darwina, ale są skutkiem *penetracyi* różnych ras w jedne i te same terytorya a następnie — zmieszania się ich.“

„Antropologia i archeologia od dawna już udowodniły, że w czasach popotopowych kilka odmian ludzkich przybyło do Europy, które obok siebie żyły i tutaj się utrzymały. Tak np. o Szwajcaryi dawno już badacze Hiss i Rütimeyer wykazali cztery różne odmiany wśród dawnej i świeższej ludności; Hölder znajduje w Würtembergii trzy różne odmiany, (które on uważa za osobne gatunki).

„Ja sam — pisze dalej Kollmann — wyśledziłem *penetracyę* kilku odmian w staropowiaty na południu od Dunaju, podobnież w Brytanii, Skandynawii, w Inflantach i w Estonii. Ten wynik naukowy, oparty na zbadaniu 4,000 czaszkach, pozostanie niezachwianym; tylko w podrzędnych kwestyach mogą jeszcze być spory. Co zaś do *penetracyi* jako takiej, to nie podlega już wątpliwości, że Europa zajętą została przez różne odmiany ludzkie. Przedstawiciele ich przedarli się do najskrytszych zakątków i dolin alpejskich; *znajdujemy ich wszędzie...*

„Gdyby obok płodnego mieszania się równocześnie trwałość cech rasowych nie była tak wielką, to dawno już w Europie musiałaby się była wyrobić jedna rasa mieszańców. Kraniologia jednak dostarcza niezbitych dowodów, że dzieje się przeciwnie — dowody te zaś zmuszają nieuprzedzonego badacza do następujących wniosków:

1-o. Każda etniczna grupa europejska (t. j. każdy naród czy lud) składa się z potomków *kilku* ras ludzkich.

2-o. *Penetracya* ta we wszystkich ucywilizowanych państwach europejskich już tak daleko się posunęła że w każdej, choćby najdalej od głównych szlaków leżącej *wiosce*, spokojnie obok siebie żyją reprezentanci różnych odmian ludzkich.

3-o. Stosunek liczebny tych odmian do siebie w rozmaitych krajach, jest rozmaity i tylko ta *różnica stosunku* tłomaczy, że każdy powiat, tak samo jak każdy naród ma pewną fizyognomię właściwą...“

Zastanawiając się następnie nad różnemi przedhistorycznemi wykopaliskami, Kollmann zaznacza, że tuż obok siebie w grobach przedhistorycznych znajdują się czaszki różnorasowe.

„To dowodzi — powiada on — że w stosunkowo bardzo dawnym czasie, wskutek penetracyi ludy nie mogły się już szczycić jednościowem pochodzeniem. Wtedy już, jak dzisiaj, osobniki różnego pochodzenia żyły spokojnie obok siebie (t. j. we wspólności narodowej) i w owym dawnym czasie już *narodowość* bynajmniej nie odpowiadała tożsamości pochodzenia, podobnie jak dzisiaj“ *).

W późniejszej rozprawie: *Ueber den Werth pithekoider Formen an dem Gesichtsschädel des Menschen***) tenże uczony formułuje zapatrywanie swoje na kwestyę rasową w następujący sposób:

„Antropologia anatomiczna ponosi szkodę przez przymierze z etnologią, a zwłaszcza przez wyobrażenie czysto etnologiczne, że jak ludy tak samo i rasy ludzkie są wytworem kilkowiekowego rozwoju; że klimat, żywność i czas wpływają na utworzenie ludów a zarazem i ras.

„Ale pojęcia te: *lud* i *rasa* nie pokrywają się wzajemnie. Co może być prawdą o ludach, nie stosuje się do ras ludzkich, które *inaczej* powstały, inaczej żyły i rozwijały się... Etnologia i antropologia nie mają bynajmniej wspólnego przedmiotu, ta ostatnia bowiem bada *człowieka* i jego różne odmiany (rasy); pierwsza zaś bada *ludy i szczepy* — a więc zjawiska przyrodnicze zupełnie od siebie różne.“

Według Kollmanna, szczepy i narody mogą najrozmaitszym uledz zmianom *nawet fizycznym* bez utraty swych cech rasowych. „Życie salonowe — powiada on — może osłabić kości i siłę mięśni, umniejszyć ręce i nogi, ale *cechy rasowe*, które osobnik nosi na sobie, jako dziedzictwo prastarego pochodzenia, zostają niezachwiane na swojem miejscu, pomimo cylindra i lakierków.“

(D. n.)

*) Porówn. *Craniologische Gräberfunde in der Schweiz* (*Verhandlungen der Naturforschenden Gesellschaft in Basel.* VII część 2-gi zeszyt).

**) *Corresp. Blatt der deutschen anthropolog. Gesellschaft.* 1883 nr. 11.

NIEŚMIERTELNOŚĆ CZĄSTKOWA.

Wawrzyny, jakie p. Dębicki zebrał w *Kuryerach* za traktat swój o nieśmiertelności duszy, zbudziły i prof. Struvego do napisania broszury w tymże przedmiocie*). Różnica jej od pracy p. D., polega głównie na bujniejszej wyobraźni, ku czemu zresztą pomogło parę ułatwiających warunków. Bo gdy p. D. postanowił sobie pozostać w zgodzie z kościołem katolickim, a także w wywodach swych starał się wogóle nieuchybiać konsekwencyi i naukom przyrodniczym, prof. Struve z tem wszystkiem nie robi sobie zachodu: na zgodności z katolicyzmem, jako prawdziwemu filozofowi, nic a nic mu niezależy, prawa znów fizyczne nie dotyczą go, jako metafizyka. To też wziąwszy sobie do pomocy „Najwyższy Rozum“ dziwy nam opowiada o tem, co to się dziać będzie po śmierci.

Z dwóch praw przyrodniczych, które miały szczęście dostać się na warsztat nieśmiertelności naszym filozofom, zachowanie siły, wyzyskane przez p. D., prof. Struve pomija, gdyż dla niego dusza nie jest pierwotnym metafizycznym bytem, lecz istnością pochodną, z wiecznego zasobu pierwiastków duchowych do życia osobistego przez Stwórcę powołaną; może przeto wskutek nowego aktu najwyższej woli przestać istnieć indywidualnie i w nieosobowej duchowości się rozproszyć. Właściwą podstawą, na której p. St. wznosi swój dowód nieśmiertelności, jest teorya rozwoju. Moralne znaczenie tej teoryi zużytkował niedawno F. Galton w duchu t. z. religii ludzkości, wyciągając z niej nowy obowiązek dla człowieka: osobistego przyczyniania się do ogólnego rozwoju rodzaju. Przeciwko takiemu wywodowi oczywiście w zasadzie nic mieć nie można, prócz tego chyba, iż on nic takiego do naszej etyki nie wnosi, czegoby w niej dotąd nie było: nie ustanawia ani pod względem treści żadnego nowego nakazu moralnego, ani formalnie nie udziela umysłom nowego bodźca do wykonywania choćby istniejących nakazów. P. Str. je-

*) *O nieśmiertelności duszy.* Napisał H. Struve.

---

francuzów, pomimo swej odstręczającej brudności miał się za ubóstwianego przez wszystkie kobiety. Długi czas był on spółbiesiadnikiem i przyjacielem domu Heinego. Prześladował Matyldę swemi uwielbieniami i improwizował jej wiersze, z których nie rozumiała ani słówka i o których tłomaczenie zazwyczaj mnie prosiła. Pewnego dnia przy śniadaniu odezwała się do nas:

— Henryku, czy uwierzyłbyś, Wihl powiedział mi, że mię ciągle *ambetuje* (qu'il ne fait que m' embêter).

Po niemiecku brzmiało to: *Ich thue Sie anbeten! Anbeten* w niemieckim znaczy: *adorer*, uwielbiać. Śmiech. Ponieważ Wihl prawił ciągle o piękności Matyldy, więc go protegowała i broniła przeciwko nam. Wszyscy niemcy, przybywszy do Paryża, żeby powitać Heinego, nie mieli nic pilniejszego do robienia nad złożenie bukietu kwiatów poetycznych lub prozaicznych u stóp Dyany obłaskawionej i, jeśli rzec można, uwięzionej, gdyż Matylda, wyjąwszy teatru i pani Arnault, nie chodziła nigdzie i czuła się lepiej w domu ze swą pokojówką, a później niewolnicą, Pauliną. Meyerbeer, który jej nie lubił, nie przyjął nigdy zaproszenia od Heinego. Stąd, powtarzam, nienawiść Matyldy ku niemu. Gdyby nawet uratował życie jej mężowi, znalazłaby niebawem sposób poróżnienia ich z sobą. A jednak Heine nie robił sobie żadnej iluzyi co do charakteru swej żony; ich sprzeczki i kłótnie domowe nie były tajemnicą dla kilku przyjaciół, przedewszystkiem zaś dla mnie, który ich widywałem codziennie i o każdej godzinie.

Heine bił swoją żonę jak pierwszy lepszy węglarz. Zwykł był mawiać do mnie: „moja żona znowu potrzebuje być obitą,“ i uskuteczniał tę operacyę zazwyczaj w poniedziałki. Tego dnia, a nie wstydził się mnie wcale, zasuwał firaneczki w oknach i dwiema swemi biednemi pięściami bił w piękne ramiona Matyldy, wykrzykując jednocześnie: „ot masz za taki a taki postępek, za takie a takie słówko,“ — nigdy za rzecz poważną lub z zazdrości. Ona, trzykroć silniejsza od niego, ona, któraby mogła go potłuc i zetrzeć na proch (bo dumną była ze swej siły), nie ruszała się i pozwalała bić, szlochając i wołając: „widział kto kiedy, ażeby człowiek tak bił swoją żonę!“ lecz nie podnosiła nigdy przeciwko niemu palca.

— Ratuj mię, Weill — wołała. Pan byś z powinności nie bił swej metresy i żony!

Heine bił coraz mocniej, śmiejąc się do rozpuku. Nagle wywracała się na podłogę, wyjąc jak tygrysica i ciągnąc męża za nogi, które były jego słabą stroną, albowiem już go trapiła wtedy choroba mlecza pacierzowego; wywracała go i tarzała się z nim po ziemi, wciąż jęcząc i wrzeszcząc. Raz, czy też dwa interweniowałem, krzyknąwszy: „czyż wam nie wstyd drzeć się jak psiaki!“ i odchodziłem. Potarzawszy się tak, okryci kurzem i pyłem, godzili się, a ceną pokoju był zawsze kapelusz nowy lub mantyla. *Katzenjammer*, mawiał Heine. Znaczy to dosłownie: *koci lament*, ale po niemiecku tłomaczy się także: zniechęcenie. I rzeczywiście działało to zniechęcająco, nietyle na małżonków, którzy się zawsze jednali, ale na najbliższych przyjaciół domu.

— Moja żona potrzebuje jeszcze być obitą!

— I na co się to przyda—odrzekłem.

— Na uspokojenie jej przez miesiąc. Wie ona bardzo dobrze, że gdyby podniosła na mnie rękę, zostawiłbym ją na miejscu i więcej nie ujrzał.

— Pan — odpowiedziałem — biegłbyś za nią i na kolanach prosiłbyś ją o przebaczenie. Nazywasz ją pan kocicą, a masz więcej niż ona kocich instynktów, nadto zaś włóczysz się z wszystkiemi kotkami z sąsiedztwa.

dnak uważa za możliwe z teoryi tej wyprowadzić wnioski nie już praktyczne dla zachowania się jednostki tutaj, lecz i teoretyczne o zagrobowem przeznaczeniu człowieka.

W historyi świata i ludzkości, mówi on, stwierdzamy pojawianie się form coraz wyższych i doskonalszych; stanąwszy w obecnym stadyum, człowiek czuje w sobie dążność do wytworzenia jakiejś istoty wyższego rzędu, ale to wszystko nie dosięga swego rozwoju w życiu doczesnem. „Wobec takiego położenia rzeczy mamy tylko dwie ostateczności: albo w imię prawa rozwoju uznać, że owe zaczątki rozwiną się typowo w dalszem życiu, albo też przerwać gwałtownie zastosowanie prawa do wszystkich tych faktycznych danych, o których mówimy.“ Autor przechyla się stanowczo ku pierwszemu z tych przypuszczeń. Zobaczmy, czy słusznie. Mówi on nam o *prawie* rozwoju i stawia je na równi z prawem zachowania siły — i to jest pierwszy punkt, na którym chwieje się jego dowodzenie. Czy jest bowiem prawo rozwoju w tem znaczeniu, w jakiem mówimy o prawie zachowania siły? Bynajmniej, stwierdzamy tylko tu i owdzie *fakt* rozwoju, fakt, będący złożonym skutkiem działania wielu praw prostszych i pierwotniejszych, do których daje się rzeczywiście, w części przypuszczalnie w przyszłości sprowadzić, praw takich jak np., że jedna przyczyna ma więcej niż jeden skutek, prawo przystosowywania się, dziedziczenia i innych, stosunkowo jeszcze złożonych, które są *axiomata media* między faktem rozwoju a bardziej jeszcze prostemi prawawami psychologicznemi i mechanicznemi, z których jednem jest właśnie prawo zachowania siły. Możnaby zarzucić, że już samo jednostajne działanie w połączaniu praw pierwotniejszych jest samo przez się objawem nowego; ale odpowiem na to naprzód, że wypadek ten jednostajnego działania w danym razie, jak to zaraz okażę, nie zachodzi, powtóre, że choćby tak było, to dla naszej kwestyi wcale nie jest obojętnem, czy prawo rozwoju jest pierwotnem, czy pochodnem. Zauważmy bowiem, jaką ono tu gra rolę. Dla postulatu nieśmiertelności ma znaczenie o tyle tylko, o ile możemy je z pewnem prawdopodobieństwem przenieść w dziedzinę pozaświatową; otóż co do praw wykrytych w *naszym* świecie, ściśle biorąc, nie mamy dostatecznej podstawy do bezwzględnego uogólnienia i do przenoszenia ich po za ten świat. Nie tu nie znaczy, że granice tego świata będziemy wciąż za pomocą teleskopów i innych środków rozszerzać i sprawdzać w nim jednostajność praw, gdyż zawsze po za najodleglejszym nawet kresem pozostanie jakaś sfera bytu, być może o innych zupełnie kategoryach, w której ustaje działanie praw naszego systemu, choćby takich jak prawo zachowania siły albo grawitacyi, choć to ostatnie dotąd ze wszystkich za pomocą postrzegania najpowszechniej zostało stwierdzone. Ale jeżeli się już odważymy na ten krok rozciągnięcia praw po za nasz świat, to, rzecz widoczna, nierównie jest większa możliwość bezwzględnej powszechności dla każdego z praw prostych i pierwotnych, aniżeli dla jakiegokolwiek pochodnego, zawarunkowanego szczególnem współdziałaniem wielu poprzednich: możliwszem jest, że w zaświatowej sferze odnajdzie się prawo grawitacyi, zachowania siły itp. pojedynczo wzięte, aniżeli to, że odnajdą się one tam w takim stopniu i takiem połączeniu, jakie są konieczne dla wydania pewnego prawa pochodnego. Tak też i pochodny charakter prawa rozwoju niezmiernie osłabia możliwość istnienia jego po za naszym światem, inaczej. możliwość istnienia i pewnego ustosunkowania tych praw pierwotnych, które je tutaj warunkują. Wątpliwość co do tego stanie się większą jeszcze, jeśli zwrócimy uwagę, o ile prawo rozwoju powszechnem jest i jednostajnem w zakresie, dostępnym naszemu badaniu.

Widzimy tutaj, iż rozwój objawia się na niewielu stosunkowo punktach, na niektórych wstrzymanym został w zarodku, na innych występuje przypadkowo, przerywany momentami zastoju lub cofania się. Wiele gatunków zwierzęcych i roślinnych kopalnymi tylko szczątkami świadczy o swym zgonie, który wprzód może nastąpił, zanim zdołały osiągnąć możliwy dla nich stopień rozwoju. Co do gatunków żyjących, to rozwój ich jest właściwie tylko hypotezą o przeszłości, gdyż obecnie od nastania współczesnej epoki geologicznej nie dostrzegamy w nich żadnych zmian postępowych, ani w budowie fizycznej, ani w zdolnościach umysłowych, prócz chyba nieznacznych przystosowań do otoczenia, które są tylko jednym z momentów rozwoju. W rodzie człowieka widzimy podobnie, iż wiele plemiou i ras na niskich już stopniach kultury zeszło zupełnie z widowni, inne w oczach naszych albo zachowują się nieruchomo w stanie, w jakim się przed wiekami znalazły, albo wyraźną okazują dążność do upadku i wymarcia. Wobec czego rozwój, we współczesnej przynajmniej epoce, przedstawia się niejako objaw prawidłowy i ogólny, lecz raczej jako wyjątek w życiu jednego szczepu, który wzniesienie swoje zawdzięcza szczęśliwemu i, jak widzimy, nader rzadkiemu zbiegowi mnóstwa drobnych czynników, będących wyrazem praw prostych, warunkujących swem współdziałaniem t. z. prawo rozwoju. Skoro więc tutaj, w sferze naszego świata, pośród warunków stosunkowo jednostajnych, powtarzających się i znanych, objaw rozwoju występuje tylko sporadycznie, chwilowo i wskutek tego może być tylko stwierdzany jako fakt, który się objawił tu i tam, ale nie daje się uogólniać na wypadki bezpośrednio niezaobserwowane (czyli jest prawem empirycznem), to czyż, nie gwałcąc dozwolonych granic prawdopobieństwa, możemy objaw ten rozciągać do sfery zaświatowej, do warunków być może z naszymi zgoła niepodobnych, w każdym razie do warunków wcale nam nieznanych?

Przypuśćmy jednak na chwilę, iż zdobyliśmy jakąś zasadę do rozciągnięcia prawa rozwoju po za nasz świat, to w takim razie, rzecz wiadoma, musimy to prawo przenieść tam takie, jakie je tutaj stwierdzamy. Otóż prawo to orzeka pojawianie się form wyższych w życiu gatunków, nie zaś osobników, etapami rozwoju są pokolenia, a nie okresy życia osobnika; ten ostatni powtarza tylko i streszcza rozwój swojego gatunku i w kulminacyjnym punkcie życia doprowadza go do poziomu, na jakim tamten stanął, w najlepszym zaś razie, przy sprzyjających warunkach wyrabia w sobie pewne „zmiany osobnicze,“ do których też ogranicza się czynna jego rola i które stosunkowo bardzo mało nad poziom gatunku wybiegają. Zmiany te osobnicze, które pojmować należy w najrozciąglejszem znaczeniu, nietylko jako zdobyte i spotęgowane zdolności, lecz i jako całą twórczą działalność człowieka, gromadzą się, utrwalają i drogą dziedziczenia lub tradycyi przenoszące się na następne pokolenie, stanowią nowy moment rozwoju; osobnik zaś wyniosły swą indywidualną zdobycz do ogólnego zasobu, sam schodzi zupełnie z tego toru, po którym kroczy jego gatunek. Wobec tego, przenosząc objaw rozwoju po za nasz świat, mniejsza teraz o to, czy słusznie, jeśli zechcemy przytem utrzymać się na gruncie naukowym — a prof. Struve właśnie taki grunt zajął — możemy prawo to pojmować tylko jako rozwój gatunku, czyli przypuścić, że z ustaniem nawet warunków życia na ziemi, ludzkość bytu swego nie zakończy, lecz drogą przeobrażeń stopniowych lub nagłej metamorfozy, wkroczy w świat nowy o innych warunkach, aby tam rozwój swój kontynuować. Jeżeli zaś, nie ograniczając się na tem.

— Bo rzeczywiście — odparł — kocham kształty, kocham piękność Matyldy, i lubię się w nią wpatrywać. Przedstawiam sobie, że jestem Pigmalionem. Ona była posągiem, wykutym przez moją rękę. Tchnąłem w nią duszę, dałem jej życie. Wszystko ma odemnie! Wszystko mi zawdzięcza!

— Nieszczęściem dla pana — odparłem — nie możesz jej już zakląć w kamień i przywrócić do stanu posągu. Ten posąg chodzi, je, nawet za dwoje, i urządza panu wszelkiego rodzaju sztuczki. Daleki jestem od ganienia jej, dodałem, bo jest zachwycająca.

Heine bowiem nie lubił, aby się o niej źle odzywano. Nam on chętnie wyliczał jej wady, ośmieszał swą miłość dla niej, ale nie pozwalał innym odnajdywać w niej wad, chociażby one biły w oczy. Kochał ją pomimo woli, jak potępieniec, jakkolwiek miłość ta była dla niego raczej piekłem, niż rajem, pokutą, niż nagrodą.

Pewnego dnia siedzieliśmy w siedmioro przy wystawnym obiedzie, t. j. obiedzie z soternem i szampanem, a śród nas dwie damy, z których jedna była wdową, a obie wyzyskiwały sakiewkę Heinego pod pretekstem uwielbienia i miłości. Miałem na sobie czarne ubranie, bo po obiedzie wybierałem się na wieczór. Podano szczupaka, którego towarzystwo nie uznało za dobry.

— Obaczmy, Weill — odezwała się do mnie pani Heine; pan, który mi zawsze mówisz, co myślisz, powiesz mi szczerze twe zdanie o tym szczupaku, który ja sama kupiłam.

— Pani — odpowiedziałem — jest on nadgniły.

Zaledwiem wymówił te wyrazy, gdy Matylda ujęła półmisek platerowany, na którym spoczywał szczupak w swym sosie, i rzuciła mi go w twarz, narażając mię bodaj na przetrącenie nosa. Na szczęście, ryba osłabiła cios. Nie wiedziałem, co powiedzieć i trzymałem się pochylony z rękami wyciągniętemi, jak gdybym wyszedł z kąpieli błotnej. Co do współbiesiadników, jedni osłupiali i jakby skamieniali nie odzywali się słówkiem, inni, przeciwnie, wybuchnęli homerycznym śmiechem.

— Kochany mój Weill — odezwał się do mnie Heine — musi cię Matylda bardzo lubić, skoro cię tak uderzyła; ale bądź spokojny — dodał po cichu, w poniedziałek ją obiję.

Proszę zauważyć, że nie bił jej instynktownie lub w uniesieniu; było to bicie zapowiadane zwykle i z góry obmyśliwane. Odparłem też natychmiast:

— Ależ to dziś poniedziałek.

Co do Matyldy, ocierała mię serwetką, przepraszając za swą żywość. Nazywała to żywością. Wiedziałem, że tego rodzaju żywość opanowywała ją w pewnych chwilach miesiąca. Podniosłem się i poszedłem do domu zmienić na wieczór bieliznę.

Nazajutrz powiedział mi Heine:

— Matylda potrzebowała kapelusza, ale gdybym cię nie znał, byłbym o ciebie zazdrosny. Tego rodzaju napaści mnie tylko urządza.

— Do licha — odrzekłem — znam lepiej od pana przyczynę tego wybuchu. Matylda wiedziała lub podejrzywała, że miałeś się udać do teatru z panią B...; wiedziała, że ci przysłano dwa bilety do loży i że nie ona miała pójść z tobą. Szukała zajścia, skandalu, a ponieważ zna mię i wie, iż jestem oddanym jej, rzuciła się na mnie. W rzeczywistości, osiągnęła swój cel, nie poszedłeś pan do teatru z panią B...!

— Tak sądzisz? — odrzekł. Matylda nie podejrzywa nic podobnego!

Ot macie mężów!

Nazajutrz, kiedym zobaczył się z Matyldą, ofiarowała mi nowy krawat, który ku-

z prawa rozwoju przyrodniczego wywodzimy pozagrobowe istnienie i rozwój osobnika, to oczywiście popełniamy tu błąd *petitio principii*, albowiem w objawie, jaki tutaj znamy, bynajmniej ów byt zagrobowy nie tkwi: osobnik w rozwoju ziemskim jest tylko drobnem ogniwkiem, które jak tylko przekazało z małą zmianą następcom to, co otrzymało od poprzedników, wnet z łańcucha wypada i ażeby utrzymywać, że ono niezależnie jeszcze od tego się rozwija, trzeba *naprzód* dowieść, że ono istnieje wogóle potem, gdy z naszego łańcucha wypadło: nigdy zaś z tego, że się w łańcuchu rozwija, nie można wnioskować, że istnieje po za łańcuchem. To, że rozwój doczesny osobnika ciągnie się i przez życie przyszłe, przypuszcza już *skądinąd dowiedzioną* nieśmiertelność, ale z tego, że osobnik rozwija się doczesnie, nieśmiertelność jego wywieść się nie daje.

Prócz powyższych zarzutów, do przyjęcia wniosków o zaświatowym rozwoju osobnika i tę jeszcze trudność spotykamy, jak to pojmować należy istnienie duszy bez ciała: zasadniczej tej trudności autor wcale nie porusza.

Pomimo jednak wszystkiego, przypuśćmy na chwilę, jako możliwy, rozwój zagrobowy: wypadałoby stąd, iż winien autor konsekwentnie przypisać go wszystkim osobnikom. Tymczasem przyznaje go tylko — niektórym. „Celem i przeznaczeniem naszem jest rozwinąć w sobie wieczne czynniki, dążące do prawdy, dobra i piękna. Kto dla braku wiary w siebie, lub energii moralnej, nie uznaje doniosłości i nie rozwija w sobie tych dążeń, ten w samej rzeczy nie ma po co i na co żyć wiecznie. Ze śmiercią jego ciała nastąpi prędzej czy później śmierć jego ducha.“ Jak widzimy, jest to stary bardzo pogląd *), który Cicero przejął od stoików, a rozwijając go w „Rozmowach Tuskulańskich,“ jako pierwszego autora pomysłu powołuje jeszcze Sokratesa (I, 27, 72). Mniejsza jednak o oryginalnosi, do której zapewne sam p. S. pretensyi nie rości, ważniejszem jest natomiast, jakie dowody przytacza dla swego wyniku. Boć przecie samo wskazanie celowości nie wystarcza; celowość dla najzagorzalszych teleologów jest tylko pewną „duchową przyczyną,“ która się uskutecznia za pośrednictwem wielu przyczyn fizycznych (np. gdy odwracanie się roślin ku słońcu objaśnimy wpływem niejednostajnego ogrzewania i powstających stąd wygięć). Spytać się więc godzi, w jaki to sposób, na mocy jakich znanych praw fizycznych a bodaj i duchowych sprawa nieśmiertelności rozwiązuje się tak, jak mniema p. S.? Co do tego związłym, zbyt może zwięzłym, jest autor. Niektóre dusze umrą, bo „Bóg tworząc istoty indywidualne, nie wyrzekł się swej władzy nad niemi do tego stopnia, żeby nie mógł je (chyba „ich“) znowu zniszczyć nawet i wtedy, gdyby te istoty jemu się sprzeciwiały, gdyby ich istnienie nie miało żadnej racyi bytu“ (34). Wobec tego nic nie mam do powiedzenia, prócz chyba powinszowania p. S. tak bliskiego wtajemniczenia w zamiary Najwyższej Istoty, czem dotąd, jak wiadomo, nie wielu śmiertelnych mogło się pochlubić. Bóg, jako wszechpotężna istota, może oczywiście zrobić wszystko, co tylko żywnie pomyślimy, a nawet czego pomyśleć nie możemy, a więc i unicestwić istniejącą duszę; lecz w takim razie po co cała dotychczasowa rozprawa, na co poruszać było przyrodoznawstwo i teoryę rozwoju? Czy nie lepiej powiedzieć po prostu, że „Bóg może“ — komu to wystarcza, byłby się zgodził odrazu. Dalej objaśnia nam autor, dlaczego Bóg postąpi tak a nie inaczej, dlaczego unicestwi dusze, które „nie wnikały głębiej w tajniki prawdy“ (55) i tu twierdzi naprzód, że takie tylko postąpienie jest *rozumnem*. Co do tego, ponieważ znam jeden tylko rozum, a to ten, który jest w mózgu ludzkim, o jakimkolwiek przeto innym rozumie nic twierdzić, ani przeczyć nie mogę i pozostawiam to szczęśliwszym odemnie. Następnie stwarza sobie autor z przyrodniczych frazesów teoryjkę, która byłaby dość zabawną, gdyby w konsekwencyach swych wraz z całym poglądem p. Str. nie była moralnie wstrętną.

(D. n.)

J. W. Dawid.

*) Tylko nie dla fejletonisty *Kuryera Warszawskiego*, który nazywa go „zasadniczym oryginalnym pomysłem,“ ani dla redakcyi tego pisma, która „chociaż się nie zgadza z poglądami p. Str., ale przyznaje im wszelkie zalety,“ co to samo znaczy: „rozwiązanie tego zadania jest fałszywe, ale nadzwyczaj nam się podoba,“ a sens tego: „Panu Bogu świeczka i dyabłu ożóg.“

Z Czerwonej Rusi.

Lwów, d. 25 lutego.

Walne zgromadzenie członków towarzystwa „Proświta“ i statystyka wydań tegoż towarzystwa. — P. Bazyli Nahorny i jego wniosek. — Ks. Kaczała, przeciwnik OO. Zmartwychwstańców i jego wezwanie do św. Jura. — „Zmartwychwstanie czy pogrzebanie.“

Najważniejszym bezwątpienia faktem w życiu halickiej Rusi z ubiegłego miesiąca było walne zgromadzenie (piętnaste już z kolei) „Proświty.“ Corocznie w lutym odbywają się walne zebrania tego towarzystwa, liczącego obecnie około tysiąca członków, bez wrzawy, bez demonstracyj, poważnie, lecz z tem większym pożytkiem dla sprawy najważniejszej obecnie w naszym kraju, dla oświaty ludowej. Zgromadzenia nie bywają zbyt tłumne, gdyż prowincyę zwykle reprezentują delegaci wielu filij, towarzystw i czytelni, które prawie bez wyjątku zbiorowo należą do członków „Proświty.“ Obrady toczą się ze spokojem i głębokiem wniknięciem w rzecz samą, a sprawozdania wydziału pod względem dokładności i sumienności nie pozostawiają nic do życzenia.

Osobliwie ważnym i ciekawym był przedstawiony ostatniemu zgromadzeniu statystyczny wykaz wszystkich dotychczasowych wydań „Proświty,“ sporządzony wyczerpująco przez „ekonoma“ prof. Suchiewicza. By dać czytelnikom *Prawdy* pojęcie o działalności tego głównego ogniska oświaty ludowej na Rusi halickiej, przedstawimy na podstawie tego sprawozdania jej cyfrowy obraz.

Od 1869 do końca 1883 roku wydała „Proświta“ ogółem 77 książeczek popularnych (5 było ponowionemi edycyami), a mianowicie:

2	po	1,200	egz.	razem	2,400
8	„	1,500	„	„	12,000
18	„	2,000	„	„	36,000
22	„	3,000	„	„	66,000
3	„	4,000	„	„	12,000
12	„	5,000	„	„	60,000
1	„	6,000	„	„	6,000
4	„	8,000	„	„	32,000
6	„	10,000	„	„	60,000
1	„	12,000	„	„	12,000

razem 77 książeczek w 298,400 egzemplarzach. Znaczy to, że w ciągu ostatnich 14 lat „Proświta“ wypuszczała w świat co rok przeciętnie 21,315 dziełek popularnych. Jak na ludność liczącą półtrzecia miliona, ubogą i w największej części nieumiejącą ani czytać, ani pisać jest, to, zdaniem mojem, wcale dosyć.

Ba, ale nie dość wydać, większa sztuka puścić między ludzi. Spojrzyjmy też, jak się z tej strony przedstawia działalność „Proświty.“ Z powyższej sumy musimy wszakże odtrącić 1.500 egz. jednej i jedynej

---

piła w zamian za mój, poplamiony sosem majonezowym. Powiedziałem jej, że już więcej o tem nie myślałem, że jestem dumny z jej predylekcyi dla mnie.

— Tylko na drugi raz — dodałem— zachowasz pani półmisek dla siebie, a mnie przyślesz tylko rybę.

— A cóżbyś mi pan za to zrobił, gdybyś był moim mężem? — zapytała.

Wiedziałem, że została pobitą.

— Gdybym był mężem pani — wybełkotałem, szukając odpowiedzi.

— Tak jest, gdybyś był moim mężem?

— Dobrze więc—odrzekłem—ciskałbym sam sobie półmiski w twarz!

Czy zrozumiała myśl mej odpowiedzi? Pobiegła ją powtórzyć Henrykowi, Henryk zaś przyszedł do mnie, ścisnął moją dłoń, uśmiechając się i mówiąc:

— Nie nastarczyłbyś półmisków!

XI.

Serce kobiety to przepaść. Wciągu piętnastu lat bywania w domu Heinów nigdy mi nie przyszło do głowy uważać Matyldę za kobietę, w którejby się można było kochać, jakkolwiek codziennie mogłem był sobie zdawać sprawę z jej potężnych i czarujących powabów. Jej cnota, zresztą, była dla mnie po nad wszelkie podejrzenia. Skądinąd dla kobiet w rodzaju Matyldy, prawdziwym amfitryonem jest ten tylko, kto płaci obiady. Jakkolwiek moje położenie materyalne poprawiało się codziennie, nie wydawałem przecięciowo więcej, niż dwa do trzech tysięcy franków, podczas gdy, podług mego rachunku, Heine musiał wydawać dwadzieścia pięć tysięcy franków, nie licząc wydatków nadzwyczajnych. Pominąwszy moje postanowienie niekochania już kobiety zamężnej, nadewszystko zaś żony mego przyjaciela, kochałem Zuzannę i po zerwaniu z nią, postanowiłem się ożenić. Nie przez zarozumiałość rozpoczynam ten rozdział. Jest to kwestya psychologiczna. Z pomiędzy wszystkich, którzy bywali u państwa Heine i którzy pisali o nich na ślepo artykuły, ja jeden znałem ich tajemnicę. Pani Heine nie miała absolutnie żadnych przedemną i posiadałem prawo do jej przyjaźni, ponieważ dałem jej prawdziwe dowody mojej. Potrzebowała wyjść za sprawunkami, towarzyszyłem jej, kiedy nie miała jeszcze swej Paulinki. Podejrzywała, że mąż jej jest w loży teatralnej z inną kobietą, znowu jej towarzyszyłem, i Heine, zaskoczony niejednokrotnie, nie brał mi tego za złe i dziękował za przyjaźń dla swej żony. Gdy był chory lub nieobecny, śniadałem i obiadowałem z nią, naprzód we dwójkę, później w towarzystwie jej Paulinki. Pewnego dnia, po obiedzie, Matylda użalała się na migrenę. Heine, który mieszkał przy Fg. Poissonnière na czwartem piętrze, wyszedł ze mną na miasto. Gdyśmy zeszli ze schodów, odezwał się do mnie:

— Zapomniałem sakiewki; ponieważ masz lepsze nogi niż ja, zechciej pójść na górę, moja sakiewka powinna się znajdować na kominku w sypialni.

Wbiegam na schody, lecę prosto do sypialni, nie pukając, i znajduję — co? Panią Heine, zmieniającą koszulę. Zlekka krzyknęła i opuściła koszulę. Cofnąłem się. Powróciwszy do Heinego, powiedziałem mu:

— Widziałem twoją żonę nagą, jak żonę króla Gygesa.

— A zatem — odrzekł, widziałeś coś bardzo pięknego. Nie sądzę, aby żona króla Gygesa była piękniejsza.

I zaczęliśmy mówić o czem innem. Nazajutrz, poszedłem do nich umyślnie na śniadanie. Matylda w szlafroku przyjęła mię z uśmiechem; odezwała się do Heinego:

— Wiesz? widział mię nagą, zmieniałam koszulę, kiedy wszedł nie zapukawszy.

— Nie widziałem nic nadzwyczajnego — odrzekłem; Zuzanna jest równie piękną jak pani.

dotychczas broszurki skonfiskowanej przez rząd. Również zaznaczyć wypada, że każdemu członkowi towarzystwa, za złożeniem składki rocznej, wysyłany bywa egzemplarz każdej książeczki bez dalszej opłaty. Otóż z 296,900 wydanych na świat egzemplarzy rozeszło się w ten sposób lub też drogą sprzedaży i darowizn dla czytelni wiejskich do końca 1883 roku ogółem 182,573 egz. Specyalnie w 1883 roku rozesłano członkom 5,867 egz., darowano rozmaitym bractwom i czytelniom 4,695, a rozsprzedano w kancelaryi towarzystwa lub też dano w komis księgarniom ogółem 172,001, z czego towarzystwo osiągnęło 1,907 złr. 94 ct. dochodu.

Poznajmy treść i pokupność pojedynczych książeczek, która jest miarą ich użyteczności. W największej liczbie wydane były prześliczne *Opowiadania o niebie i ziemi* (10.000) i *Opowiadania o siłach przyrody*, dwie części (jedna 10 a druga 12 tys. egz.); dalej popularny *Życiorys T. Szewczenki*, napisany przez profesora literatury ruskiej na uniwersytecie lwowskim, dr. E. Ogonowskiego, jako też jego opowiadanie historyczne *O życiu świętych Borysa i Hleba* (obie po 10,000 egz.); wreszcie popularny wykład A. Hładyłowicza „Co to jest prowizorya i jak się ją prowadzi?“ (10,000 egz.). Z tych sześciu książeczek, przedstawiających poważną cyfrę 62 tys. egzemplarzy rozeszło się dotąd 20,377, t. j. przeciętnie po 3,400 każdej. Do najbardziej rozkupywanych należy prześlicznie napisana broszura weterana ruskiego, ks. Kaczały, p. t. *Co nas gubi, a co nam dopomódz może?* w której autor skreśliwszy dosadnie smutny stan wiejskiego ludu, jedyne wyjście z nędzy widzi w zakładaniu towarzystw dla oświaty i pomocy ekonomicznej. Wydana pierwszy raz w r. 1869 broszura ta została po dwu latach rozchwytaną i stała się hasłem tego prądu asocyacyjnego między wiejskim ludem ruskim, który starałem się pokrótce scharakteryzować w mej poprzedniej korespondencyi. W 1872 r. puściła „Proświta“ drugi, a 1874 trzeci nakład tej broszury. Wszystkie trzy edycye liczyły ogółem 10. tys. egz., z których rozprzestrzeniono dotychczas 7,905 egz.

Prócz tego wydrukowała „Proświta“ dotychczas dwukrotnie modlitewnik w mowie ludowej, naprzód w dwóch a potem w 10 tys. egz., wydawała przez trzy lata popularne czasopismo i przy współudziale rady szkolnej krajowej przygotowała od r. 1871 do 1876 17 książek dla szkół gimnazyalnych w ogólnej liczbie 12,300 egz., z których dotychczas rozsprzedano 7,197 egz.

Oto są ważniejsze cyfry, świadczące o pracy jej nad oświatą ludu i umysłowym rozwojem Rusi halickiej. Czy trzeba dodawać, że towarzystwo to, tak jeszcze młode, założone zostało przez ludzi, niemających żadnych zasobów, ubogich studentów i nauczycieli gimnazyalnych i że dotychczas roczne dochody jego wynoszą zaledwie 6,300, a wydatki 2,980 złr? Jeżeli z działalnością „Proświty,“ iście mrówczą, porównamy szumną a kosztowną działalność niedawno utworzonej u nas „Macierzy polskiej,“ która na wydanie 10 książeczek lichej treści, obejmujących razem niespełna 30 arkuszy druku, wydała w pierwszym roku swego istnienia 8,000 złr. — to przekonamy się, że różnica jest, co najmniej — uderzająca.

Z pomiędzy wniosków, uchwalonych na ostatniem walnem zgromadzeniu, na szczególną uwagę zasługuje myśl Bazylego Nahornego, żeby z pomiędzy lwowskich członków „Proświty“ powstał komitet, któryby zajął się powstającemi tak licznie po kraju czytelniami ludowemi, ożywiał ich działalność za pomocą odczytów urządzanych po kraju i wogóle starał się te cenne zawiązki asocyacyjne wprowadzać ze sobą w żywsze zetknięcie i podnosić tym sposobem ogólny poziom umysłowego i społecznego życia ludu. Wniosek ten wszyscy uznali za bardzo ważny; charakteryzuje też on osobę Nahornego, wykształconego w Szwajcaryi budowniczego, człowieka, który wyszedł z ludu, zna jego potrzeby i umie do niego przemawiać (dowodem jego głośna mowa na wiecu ruskim, za którą tutejsza polska prasa najniesłuszniej nazwała go m.....), a z drugiej strony na obcej ziemi nabył tego praktycznego organizacyjnego zmysłu, którego żadna książka nie nauczy.

Drugim niemniej ciekawym faktem rusińskiego życia społecznego z ubiegłego miesiąca było wezwanie sędziwego ks. Kaczały do św. Jura przez obecnego zarządcę lwowskiej archidyecezyi, biskupa Sylwestra Sembratowicza „ad audiendum verbum“ z powodu artykułów przeciw zakonowi OO. Zmartwychwstańców, umieszczonych w *Dile*. O ile doszły nas szczegóły o tej rozmowie, to Kaczała odpowiedział całkiem otwarcie na wszystkie zarzuty, głównie podnosząc różnicę stanowisk. „Wy jesteście — mówił on do biskupa — unitą, katolikiem i niczem więcej, ja zaś jestem przedewszystkiem rusinem, na tem stanowisku stoję i stać będę. Przeciw Zmartwychwstańcom występuję, bo uważam ich za szkodliwych dla ruskiej narodowości.“ Oprócz tego wyjaśnienia rozmowa zresztą nie doprowadziła do żadnego innego rezultatu.

Wogóle czują to obecnie wszyscy rusini galicyjscy, że widnokrąg ich właśnie od strony Rzymu zaciemnia się i pokrywa chmurami brzemiennemi w groźne pioruny. Jezuici osobliwie między hierarchią ruską zdobywają pozycyę za pozycyą, puszczają korzenie coraz szerzej. Słychać, że nie zadawalając się już jednym klasztorem dobromilskim, mają wkrótce zabrać drugi bazyliański w Ławrowie. Wpływ ich u św. Jura, na biskupa i konsystorz, rośnie z dniem każdym, a Ruś halicka nie bez przyczyny lęka się o swoją przyszłość. Wyrazem tych obaw jest umieszczony w *Dile* obszerny artykuł „Zmartwychwstanie czy pogrzebanie,“ który tutaj powszechną zwraca na siebie uwagę.

Zaznaczywszy we wstępie obecne wzmacnianie się i odżywianie katolicyzmu na zachodzie Europy, autor wywodzi, że osobliwie w Austryi fale jego muszą bić potężnie; ta bowiem głównie trzyma się dynastyą, dynastya zaś trzyma się tylko katolicyzmem.. Jest on na razie tym cementem, który jako tako zlepia różnorodne i wrożne strony dążące składniki monarchii, przeto też i tytuł „Apostolische Majestaet,“ jakiego używają cesarze austryaccy, wcale nie jest czczą formułą. Oczy Austryi, jako mocarstwa katolickiego, zawsze muszą być skierowane na wschód. To tłomaczy, wedle zdania autora artykułu, owo zajęcie się rusinami galicyjskimi, które oddawna spostrzegano w sferach watykańskich i które w najnowszych czasach sprowadziło na naszą Ruś nowych apostołów katolicyzmu — Zmartwychwstańców i Jezuitów. Ale kogóż to chcą nawracać ci apostołowie? — zapytuje autor. Przecież rusini galicyjscy, jako unici, są już katolikami. Otóż w tem właśnie sęk! „Powiedzmy krótko: katolicyzm u tych nowych apostołów jest tylko jeden, łaciński. Unia z jej odrębnem, autonomicznem stanowiskiem niema w nim miejsca. Dla zmartwychwstańców unia jest już niedostateczną; tylko przyjąwszy zupełnie łaciński obrządek my staniemy się w ich oczach prawdziwymi katolikami.“

Następnie zaznacza autor, że rusini galicyjscy zawsze stali wierni przy unii, dopóki w Rzymie samym ją szanowano. Obecnie atoli — twierdzi on — przywiązanie do unii zachwiało się i osłabło nie pośród rusinów-unitów, lecz pośród samych przodowników łacińsko-katolickiego kościoła, którzy przestali ją uważać za dostateczną. Autor przypuszcza zatem na chwilę taką

— Kłamiesz pan! To nieprawda! —krzyknęła. Drogi mój — dodała, zaprowadzę cię do Zuzanny, a obaczysz, iż daleko jej do mojej piękności.

— Chcesz się pani założyć? — zapytałem.

— Ah! —zawołała, zgaduję, do czego dążysz. Chciałbyś pan zobaczyć mię raz jeszcze, ale... *nini c'est fini.* Raz jeden — to nie zawsze.

Po słowach tych wychyliliśmy kieliszki na cześć jej piękności nagiej i obnażonej.

Innym znowu razem, po śniadaniu, odezwała się do mnie: Weill, byłbyś nie brzydki, ale brak ci kawałka nóg. Co do biustu, jesteś dość ładny.

— Nie zajmowałem się nigdy mojem ciałem — odrzekłem. Ale jakkolwiek jestem mały i krępy, nie lękam się dwu mężczyzn.

— Pan! — krzyknęła, ależ ja, jabym się pana nie obawiała! Sądzisz, że ponieważ daję się bić Henrykowi, a jego razy nigdy mnie nie bolą, jakkolwiek płaczę, sądzisz, że się obawiam mężczyzny? W mojej wiosce żaden chłopak nie ośmieliłby się walczyć ze mną i zakładam się z tobą, o co zechcesz, że mi nie zegniesz ramienia.

Miała na sobie peniuar i piękny czepek nocny o różowych wstążkach.

— Zobaczymy — odpowiedziałem.

— Ale walka będzie uczciwa, bez podstępu!

— Oparliśmy rękę o rękę, wytrzymuję dobrze, wysilam się i dopiero po upływie kilku minut prosi mię o łaskę.

— Jestem zwyciężona, a pan silniejszy odemnie.

Mocując się ze mną, zgubiła wstążkę, którą podjąłem.

— Zachowaj ją pan — rzekła, to trofea.

Muszę ją nawet jeszcze mieć u siebie. Obcy, któryby był świadkiem tej walki, doszedłby do bardzo złych wniosków o naszych stosunkach. Ot, jak się piszą dzieje. Wprawdzie mężczyzna i kobieta, jakolwiek by byli czyści, winni zachowywać pozory; ale ba, Matylda, dziecię natury, drwiła z wszelkich pozorów. I gdy bił ją mąż, ona z kolei biła Paulinę.

Zacytuję tu fakt, odnoszący się do czasu daleko późniejszego, a który był powodem naszego poróżnienia się. Należy on do tej samej kategoryi. Heine, będąc od 1848 r. dotknięty paraliżem, z początku częściowym, nie mógł otwierać oczu, oile sam ręką nie podnosił sobie powiek. Do żony mojej mawiał: pozwól pani mi podnieść zasłonę mego oka, abym mógł cię podziwiać. Później, gdy choroba się wzmagała, pomimo pomocy wszystkich lekarzy i wszelkich środków, zmuszony był leżeć na materacu, nie mogąc się ruszać, naprzód z pokoju, następnie z łóżka. Ożeniwszy się w r. 1847, widywałem go rzadziej, wszelako jeszcze po trzy, cztery razy na tydzień. Heine mieszkał wówczas przy ulicy Amsterdamskiej. Matylda doglądała swego męża, o ile to było w jej mocy. Nie była, niewątpliwie, urodzoną na siostrę miłosierdzia. Zrujnowałaby niezawodnie klasztor swemi wymaganiami co do stołu i łatwością swoją pod względem wydatków. Pewnego dnia doktór Wertheimer, sławny hydropata, żyjący dotąd jeszcze w Paryżu, odwiedziwszy Heinego, powiedział mu, że jest źle doglądany. Matylda, usłyszawszy to zdanie, nie miała nic pilniejszego do zrobienia nad wyczekiwanie doktora pod drzwiami i podbicie mu oka silnem uderzeniem pięści! I dobra go ogarnęła myśl niewywzajemnienia się za to; byłaby go udusiła.

W piętnaście dni po tem uderzeniu, poróżniliśmy się z sobą. Ale nie uprzedzajmy znowu wypadków.

(D. c. n.)

możliwość, że rusini galicyjscy w całej masie przyjęli obrządek łaciński i zapytuje, jakiby byłby w takim razie ich stan religijny, polityczny i narodowy? W religijnym względzie przedewszystkiem celibat oderwałby duchowieństwo od ludu i pozbawiłby go najznaczniejszej części inteligentnych przewodników.

Pod względem politycznym stanowisko rusinów także przez to polepszyćby się nie mogło, a za to pod względem narodowym przyjęcie łacińskiego obrządku byłoby dla rusinów galicyjskich wielką klęską, bo oderwałoby ich zupełnie od narodowej wspólności z prawosławnymi ich braćmi na Bukowinie i w Ukrainie.

Wogóle zauważyć trzeba, że kwestye religijne, obrzędowe i kościelne po długiej na tem polu ciszy coraz więcej wysuwają się na pierwszy plan w Rusi halickiej. Niepocieszający to znak czasu.

Myron.

Z LITERATURY UKRAIŃSKIEJ.

II.

Większą nieporównanie korzyść literaturze ukraińskiej przyniósł Pantelejmon Kulisz, człowiek wielkiej energii ducha, wielkiej pracowitości i uzdolnienia. Dziecię ludu, jak i Szewczenko, kochał go miłością w pracy i czynie. Pisarz wszechstronny i historyk, poeta, etnograf, powieściopisarz—we wszystkiem, czego dotknął, zdradzał niepospolite zdolności. Umiłowawszy lud swój, pragnął mu szczerze służyć prawdą tylko. Bardzo byłbym skłonny do tej opinii, że Kulisz zmarnował się w walce codziennej, że będąc nadto usposobienia żywego, rozpraszał swoje siły w przedsięwzięciach drobnych. Wychowany w tradycyach antinarodowych, karmiony wiedzą strzeżoną i prowadzoną na pasku polityki ulegał mimowolnie wpływom otoczenia. Niezmordowana chęć odszukania prawdy-przewodniczki popychała go naprzód do badań i pracy. Wydał ciekawe bardzo *Zapiski o Jużnoj Rusi*, *Istorija wozsojedinienija Rusi* i szereg artykułów samodzielnych, które go już odsuwały pomału od hałaśliwej, a tchnącej sztucznie żywioną nienawiścią plemienną, mało zdolnej i mało skrupulatnej w sprawach sumienia—mniejszej braci literackiej. Takimi artykułami były: „Polskaja kołonizacja w Jugozapadnoj Rusi,“ „O Kozaczestwie,“ „Małowana hajdamaczyna.“ Jednym z najpopularniejszych utworów Kulisza jest udramatyzowana kronika, czy romans historyczny *Czorna rada*, do której treść poczerpnął z dziejów Ukrainy po śmierci Bohdana Chmielnickiego. Epoka ta odmalowana u Kulisza z wielką żywością i wszechstronnie: na tem smutnem tle historycznem, gdzie walczą obok siebie polityczne namiętności i egoistyczne zachcianki, przesuwają się obrazy siły i upadku narodowego ducha z jego sferą polityczną i rodzinną.

Po niezmiernie czynnem życiu literackiem i publicystycznem, w którem długo gorący przyjmował udział, Kulisz zamilkł, zakopał się w studyach i cichej pracy; zdawało się, że duch jego potrzebował odpoczynku, potrzebował spokojniej sięgnąć do zagadnień ludzkości, z którą los jego ojczyzny związany; badał wtedy historyę i tłomaczył Shakespeara. Przyszedłszy raz do uznania samodzielności narodowej, wszechstronnie rozważał wszystko, co było do rozwagi, i z ust jego wypłynęło słowo miłości i zgody posłane do długowiekowych nieprzyjaciół. Była to jego broszurka, zatytułowana *Kraszanka*. Wkrótce potem wyszła *Chutorná poezyja*, jedna pieśń żalu i smutku.

Świat pojęć i ideałów ukraińskich rozszerzał się coraz dalej i coraz widoczniej; każde pokolenie przynosiło swoją cząstkę, swój przyczynek. Od tematów z tendencyami hajdamackiemi, napiętnowanymi w wierszu Kulisza „Sława,“ od dramatów rozdmuchających przygasłe zarzewie, przejście do niezawisłości stawało się coraz wyrazistszem i obejmowało nie lud jeden lub kozactwo—jak dawniej—ale realną społeczność, nie jednolitą i wymarzoną, ale taką, jaka jest. Kto do tego zadania nie dorósł, zostawał w tyle. To się stało np. z utalentowaną pisarką Markiem Wowczkiem (pani Markiewicz), która brała swoje tematy z czasów ostatniej pańszczyzny; znikła pańszczyzna, zamilkł głos pisarki

To dążenie do realizmu, zaznaczone przez nas w literaturze ukraińskiej, już w obecnej chwili zarysowało się wyraźnie w dwu kierunkach: jako próba stworzenia powieści społecznej, i próba stworzenia narodowego dramatu i komedyi. W pierwszym kierunku pracuje Lewicki, w drugim — Kropiwnicki i Starycki. Jak bardzo na dobie jest ten nowy ruch, najlepszym dowodem zadowolenie, a nawet entuzyazm wykształconej części społeczeństwa, z jakim ono wita te nowe usiłowania. Poznanie i krytyka tych stosunków, które istnieją, tych rozmaitych odcieni narodowego życia i tętn jego, jakie biją wszędzie, stało się koniecznością. Jeżeli literatura miała być żywotną, musiała wniknąć w łono społeczności, od ludu przejść do narodu. Na tej, czysto ludowej strunie, na której Szewczenko wygrywał cudowne piękne pieśni, nie umiał grać każdy; maniera, naśladownictwo nie zastąpiły poezyi; zresztą głębsze studya i wykształcenie musiały wywołać głębsze zapatrywanie się i ocenianie swoich domowych, społecznych stosunków—wszystko to skłaniało niejako piszących do rozszerzania ram dla swoich tematów i pracy.

Iwan Lewicki (Neczuj), mógłby być ozdobą nietylko takiej początkującej literatury, jak ukraińska. Zrozumiał on zadanie powieściopisarstwa szerzej i głębiej, niż jego poprzednicy, zrozumiał dobrze, że nietylko lud wiejski ma prawo do poezyi i badania. W powieści swojej, a czasem i w komedyi (*Na Kożumiakach*) wysunął naprzód żywioł mieszczański, starał się napiętnować odstępstwo narodowe, wprowadził typy ze świata profesorskiego i akademickiego na tle życia, potrzeb i zadań społecznych. Takimi są także utwory *Pryczepa* i *Chmary*. W pierwszej przedstawia żywioł miejscowy w zetknięciu z polakami i wpływ jego określa, a nie można mu nie przyznać wielkiej znajomości tego świata, który maluje: typy polskie, jak Zofia, Teodozya, Jaś Seredyński, Lemiszkowski — skreślone są z wielką werwą i prawdą, i gdyby nie tchnąca z całej powieści tendencya ukrytej nienawiści i ironii, niedozwalająca autorowi tworzyć spokojnie, całość zyskałaby wiele pod względem artystycznym. Druga powieść (*Chmary*) przedstawia pierwiastek miejscowy w zetknięciu się z innym, a chociaż wygląda jak zadanie na temat, ma te same zalety i wady, co i pierwsza. Autor widzi różnoplemienność w starciu się codziennem, ale nie umie wskazać, czy nie śmie owego *modus vivendi*, który potrzeba koniecznie wynaleść... Niedość jest znać złe, trzeba radzić, aby go usunąć. Jedyną ułomnością w tych powieściach jest brak typów dodatnich, a raczej szkicowanie ich barwami nadto sentymentalnemi; dodatnie (jak Hania w *Pryczepie*) grzeszą biernością, co uwydatnia się tembardziej, iż przeciwne są pełne ruchu, życia, energii i zwyciężają wszędzie.

Ten sam krytycyzm, zastosowany do teraźniejszości, wbrew niedawnemu jeszcze idealizowaniu życia ludowego, doprowadza autora do gryzącej niekiedy satyry, pełnej prawdy i goryczy—na dnie. W tym duchu napisane są króciutkie opowiadania: *Ne można babi Parasci wderżatyś na seli* i *Błahosłowyt' babi Pałażci skoropostyżno wmerty*. Tu widzimy życie i ludzi ze strony codziennej: świat ciemnoty, plotek, przesądów, próżniactwa, któremu nie przyświeca żaden jaśniejszy promyczek w przyszłości. *Pryczepa*, przełożona na język polski; należy tylko życzyć, abyśmy więcej poznawali to, co nam pokrewne i zamiast nędzoty francuskiej lub angielskiej tłomaczyli utwory pobratymcze.

M. Kropiwnicki, pisarz - aktor, zdołał szczęśliwie stworzyć teatr narodowy, nie dla tego narodowy, że ukraiński, ale że w dramatach i komedyach swoich ucieleśnił pierwiastek swojski ze wszystkimi odcieniami społecznego życia doby bieżącej. Większość prac tego autora znaną jest tylko ze sceny; ważniejsze z nich: *Daj serciu wolu, zawede w newolu*, *Hlytaj abo pawuk*, *Doki sonce zijde, rosa oczy wyjist'*; z komedyi i wodewilów zasługują na uwagę: *Po rewizyi*, *Poszyłyś w durni*, *Pomyryłyś*. W dramatach *Daj serciu wolu* i *Pawuk* autor przedstawił z wielką znajomością rzeczywiste stosunki na wsi i znaczenie tak zwanych „kułaków,“ ludzi, którzy się wzbogacili i bogacą się z „gromady,“ wysysając krew jej, jak pijawki. Godnem uwagi jest ciekawe zjawisko w nowożytnej literaturze ukraińskiej: zupełny brak skończonych typów dodatnich; spostrzegliśmy ten niedostatek u Lewickiego (Neczuja), spostrzegamy go również u Kropiwnickiego. Sądzę, że wynika to z braku objektywnego oceniania stosunków społecznych bieżącej chwili, podtrzymywania w literaturze kastowości i wzajemnej nienawiści. Stąd przesadna chęć przedstawienia ulubionych a raczej wymarzonych ideałów z najlepszej strony, czyni ich nadto jednostronnymi, często fałszywie sentymentalnymi, niekiedy biernymi, a odejmuje wszelką energię i siłę, która mimowolnie podnosi charaktery ujemne.

Dramat *Doki sonce zijde, rosa oczy wyjist'* jest obrazem dzisiejszym i maluje świat walki moralnej i społecznej, jaką wywołał i długo jeszcze utrzyma duch wieku, dążący do niwelacyi społeczności pod względem moralnym. Starcie się rozmaitych wręcz przeciwnych sobie pojęć, zasad i klas społecznych zawiera w sobie wiele pierwiastku dramatycznego i komicznego.

Michał Starycki (Staryczenko) dał się poznać szerszej publiczności operetkę *Rizdwiana nicz*, do której muzykę dorobił ukraiński kompozytor Łysienko. Operetka zyskała pierwszeństwo przed innemi (*Natałka Połtawka*, *Moskal czariwnyk* i inne) większą etnograficzną prawdą, znajomością zwyczajów i obyczajów. Starycki jest bardzo wybitnym pisarzem w nowożytnej literaturze ukraińskiej. W *Piśniach i dumach*, jakoteż *Radą* dał się poznać jako tłomacz Heinego, Byrona, Mickiewicza, Syrokomli i w.i., w ten sposób nietylko kształcił język, ale i smak estetyczny tej publiczności, która nie może czytać oryginałów. Ostatnimi czasy zajął się przekładem Shakespeara (*Hamlet*), co należy poczytać za wielką chlubę jemu i Kuliszowi, że mieli odwagę poznajomić swoich czytelników z tym genialnym pisarzem. Tylko dobra szkoła wyrabia dobry smak. To też stary Shakespeare przydał się M. Staryckiemu. Wziąwszy z niego technikę budowy, napisał niedawno dramat *Ne sudyłoś*, w którym za główne tło służy starcie się dwu warstw społecznych. Jednostki światłe, uniesione tą niesprawiedliwością, która zmusiła lud ugiąć się pod wpływem bogactwa i przywileju mniejszości, usiłowały nieraz przeniknąć w tę sferę upokorzonych, zbliżyć się do niej, pokochać ją czystem sercem i zbliżywszy się — zostały odtrącone niewiarą, niezaufaniem w szczerość i wikłały się w trudności, nie umiejąc pogodzić pojęć swoich z rzeczywistością. Takie jest ogólne tło *Ne sudyłoś*.

Jako cechę bardzo ważną najnowszego zwrotu literatury ukraińskiej, należy zaznaczyć większą jasność w sformułowaniu

idei narodowości, a chociaż pisarze ukraińscy odchylają się jeszcze od kierunku, wytkniętego przez Kulisza, ale też nie zbliżają się i do innego, nadzwyczaj dwuznacznego, na czele którego stoją Kostomarow, Czałyj i i. Tendencye ich polityczne dałyby się scharakteryzować przypowieścią: „ni waszym, ni naszym,“ kto silniejszy, tam i my. Ten kierunek ujawnił się ostatnimi czasy w pracy Michała Czałego: *Żyźń i proizwidienija Tarasa Szewczenki*, w której apostołuje utworzenie jakiegoś „obszcze literaturnaho jazyka.“ Według niego, cała odrębność narodowa literatury polegałaby na kuchni ukraińskiej, której on widocznie jest szczególnym zwolennikiem. Należy on z Kostomarowym do tej szkoły, która zapewne myśli, że doprowadziwszy język ludowy do „jednego mianownika,“ jak mówi w jednym dramacie swoim Starycki, można spocząć na laurach.

Nie mówię nic o p. Czałym, jako o biografie, bo i w tej roli wart niewiele. Być może, że kiedyś będę miał cierpliwość podnieść jego zasługi jako biografa Szewczenki.

F. Rawita.

LIBERUM VETO.

Zebranie członków Towarzystwa muzycznego.—Dwa stronnictwa.—Mowa w imieniu zwolenników Terpsychory do kapłanów Polihymnii.—Układ. — Potrzeba przystawek.—Ogród zoologiczny.—Dobra metoda. — Szkodnicy i złodzieje w rachunku. — Intryga pism ilustrowanych. — Prawdopodobne podwyższenie ceny lawą.—Ilustracye tanie. — Drapieżna czułość i mimowolny humor.—Zyskowny zawód.

Radość zbyt często splata się ze smutkiem, ażeby dwie te nuty zdziwiły nas w chórze członków Towarzystwa Muzycznego, zgromadzonych na doroczną naradę. Oba te uczucia wypłynęły z jednego źródła. Świątynia Polihymnii, licząca w r. 1873 aż 1,389 wiernych, posiada ich dziś zaledwie 644. Upadek zamiłowania do sztuki lekceważyć jeszcze można, ale zasobów kasy jej przybytku — nie. To też dyrekcya Towarzystwa, nauczona doświadczeniem innych przedsięwzięć, że daleko lepiej odwoływać się do naszych nóg, niż głów, „zrzekła się klasycyzmu“ i zaczęła urządzać wieczorki tańcujące z wielkiem szczęściem. Czy środek ten pomnoży liczbę członków do pożądanej miary, jeszcze nie wiadomo, ale to pewna, że nikt dotąd nic pewniejszego nie wynalazł. Odparcie zatem ataku rycerzów „sztuki poważnej“ nie było wcale trudnem, bo polegało na prostym wywodzie:

Przezacni i świętobliwi kapłani! I my ober-Fikalscy Towarzystwa Muzycznego jesteśmy zwolennikami sztuki poważnej, i my wolelibyśmy słyszeć w niem tylko Mozarta, Beethovena, Schuberta, Chopina, a nie Lewandowskiego i Straussa; ale cóż poradzimy, jeżeli ci, którzy naszej rodzimej Polihymnii dają *papu*, w znacznej części naszego gustu nie podzielają? Zamiast łająć nas, że ze świątyni robimy klub, lepiej wskażcie sposób, któryby jej ołtarze zabezpieczył od komornika. Gdyby panowie X i Y, którzy krzyczą na zniesławienie przybytku muzy, sypnęli tyle rubli, ile grzmiących słów, wygrywalibyśmy sobie w pustej sali melodye klasyczne i drwili z barbarzyństwa ogółu, który ich słuchać nie chce. Ale dopóki pp. X i Y płacą zwykłą składkę a ten dziki ogół daje nam utrzymanie, musimy się z nim liczyć. On zaś ziewa przy Mozarcie, a dryga przy Strausie i chce tańczyć. Strzeżmy się, bo wyjdziemy jak... obywatele poznańscy na swej odezwie.

Tak bym rzekł, gdybym należał do komitetu, a ponieważ nie należę, więc wolno mi jeszcze dodać jedną uwagę, której w urzędowym charakterze muzyka zrobić bym nie mógł. Mianowicie: czy nie dałaby się osiągnąć zgoda obu stronnictw w układzie, ażeby Towarzystwo było na przemiany jednego dnia klubem, drugiego — muzycznym salonem? Ponieważ ściany dawnego lokalu w Resursie daleko częściej profanowały się odgłosami walca a nawet licytacyi karcianej, co nie przeszkadzało wcale brzmieć później uroczystym tonom Mozarta i Beethovena, czemużby teraz pląsy środy miały ubliżać powadze soboty, lub odwrotnie? Przykładem — niemiecka Harmonia, która godzi artyzm z zabawą. Kilka przysłów ostrzega, że trudniej złamać upór kobiety, niż rogi szatana. Nasza zaś kobieta, idąc śladem zagranicznych, potrzebuje i domaga się klubu. Do obu resurs ma wstęp zaledwie raz lub dwa na rok, wstęp kosztowny i krępujący; a ona tymczasem chciałaby mieć jakieś miejsce, gdzieby mogła zabawić się częściej, taniej i swobodniej. Póty więc spiskowała w Towarzystwie, aż pewnego dnia wyniesiono Polihymnię, usunięto jej ołtarze i zaczęto w świątyni tańczyć. Dziś już wracać wyłącznie do pierwotnych nabożeństw w naszej parafii muzycznej — niepodobna. Towarzystwo więc musi stać się po części klubem, albo zamknąć swą kapliczkę. Czy zaś na tem zamknięciu więcej by zyskała „sztuka poważna,“ która zamilkłaby zupełnie — wątpię. I doprawdy nie należy winić kobiety za tę rewolucyę, za to przekształcenie charakteru Towarzystwa Muzycznego, tak samo, jak nie należy winić p. Szafarkiewicza za to, że Towarzystwo kredytowe ziemskie wezwał do badań geologicznych. Brak instytucyj potrzebnych musi rozpierać po za właściwe granice działalność istniejących. Gdyby ktoś do Biura posłańców chciał przyczepić uorganizowaną szkołę politechniczną lub stacyę doświadczalną — wcale bym się temu nie dziwił. Takie dziwotwory leżą w naturze rzeczy.

Dlatego również nie wydaje mi się słusznem zdumienie, że p. Kamiński, adwokat zakłada... ogród zoologiczny. Przypuszczam, że występuje on jako pełnomocnik spółki, ale nawet w przeciwnym razie — taką rolą wcaleby mnie nie raził. My wobec społeczeństwa musimy być służącymi do wszystkiego (proszę też mnie nie wydziwiać, jeśli zostanę kiedy rewirowym Towarzystwa opieki nad dziećmi). Projekt urządzenia ogrodu zoologicznego u nas zrodził się niezależnie w dwu kołach: w redakcyi *Ogrodnika polskiego* i jakiejś bezimiennej dotąd spółce. Obecnie dwa te ciała naradzają się z sobą i prawdopodobnie połączą swe siły. W dotychczasowej ich robocie podoba mi się jeden szczegół: zbieranie doświadczeń miast zagranicznych (Frankfurtu, Hamburga itd). Taki punkt wyjścia uchroni inicyatorów od pomyłek i może doda bodźca. Gdyby tej metody użyto w kwestyi tramwajów, pewnie one byłyby własnością towarzystwa polskiego, a nie belgijskiego. Nasz kapitał jest czasem dziwnie w rozumowaniach tępy. Pojmuję jego obawy do przedsięwzięć nigdzie niewypróbowanych; ale jeżeli np. tramwaje w daleko mniejszych miastach dają zyski, dlaczegóżby nie opłacały się w jednej Warszawie? Tak wszakże nikt nie rozumował, wszyscy osłabiali nadzieję wątpliwościami... psychologicznemi, przypuszczając, że może kolej konna ludności nadwiślańskiej się nie podoba, i filozofowano dopóty, aż przyjechali francuzi i nie znając zupełnie warszawian, bez uprzednich badań psychologicznych, wzięli złotodajną żyłę. Zawsze po szkodzie mądry polak przez pewien czas jest bardzo pohopnym do nowych przedsięwzięć, i może właśnie temu rozpędowi zawdzięczamy krzątanie się około ogrodu zoologicznego. Jego przyszłym twórcom pozostawiam obliczenie dochodów i rozchodów, sądzę jednak, że czuliby oni większą ufność do swego planu, gdyby go nie musieli urzeczywistniać śród warunków trudnych, śród ludności częścią zepsutej, a częścią lekkomyślnej. Jeżeli w Niemczech, w kraju idealnego porządku, znajdują się tajemni truciciele słoniów i lwów, to u nas, gdzie żadne drzewo owocowe przy drodze jeszcze nigdy nie dojrzało, na szkodnictwo i bezmyślne łotrowstwo trzeba być przygotowanym. Skoro niezliczona armia złodziejów kradnie u nas parkany, szyldy i drzwi, dlaczegóżby nie mieli się znaleźć amatorowie papug, kaczek indyjskich i kangurów? Zresztą rzezimieszek warszawski byłby zdolny ukraść nawet lwa i tygrysa! To są w swoim rodzaju genialni ludzie!

Maskarady już nie ma a w pismach naszych snuje się dziwna intryga. Niedawno doniosły one, że wydawcy *Tygodnika ilustrowanego* otrzymali pozwolenie podwyższenia ceny prenumeracyjnej o 50% (z 8 rs. do 12 w Warszawie). Wiadomości tej strona interesowana zaprzeczyła. Obecnie znowu czytamy, że takąż samą podwyżkę z Zarządu prasy uzyskały *Kłosy*. Jeszcze p. Lewental temu nie zaprzeczył, ale chociażby nawet uznał to za potrzebne, nie ulega wątliwości, że śród pism ilustrowanych przygotowywa się dla ich abonentów niespodzianka. Wypierają się one dotąd znacznego podniesienia prenumeraty dlatego zapewno, że nie wszystkie jeszcze mają do tego prawo, a chcą wystąpić razem. Ogólnej drożyznie najdłużej opierała się prasa, teraz i ona ulega konieczności, której uległ chleb, mięso, zboże i kartofle. Nie znaczy to wcale, ażeby wydawnictwa ilustrowane u nas nie pokrywały dochodami swych kosztów: bynajmniej, każde z nich przynosi kilka tysięcy rs. czystego zysku, ale—odpowiednio do liczby abonentów — przynosi widocznie za mało. Odpowiednie też zagraniczne są rzeczywiście droższe. Ale — czy podwyżka 50% nie jest za wielka? Nie wątpię ani na chwilę, że powoła ona do życia ilustracye skromniejsze, ale tańsze. Cesarstwo posiada pismo obrazowe (*Niwa*) bardzo tanie, liczące podobno 70,000 abonentów. Nasza *Biesiada* nie może objąć szerszego koła czytelników, gdyż zaprasza do swego stołu tylko żywioły sfanatyzowane a karmi ich tak niestrawnym sentymentalizmem, ściska z taką drapieżną serdecznością i tak po aktorsku leje łzy przy ciągłych: „kochajmy się,“ że aż budzi niesmak. Jej słynny wykrzyk: „Pińczów *nie ma czego* zazdrościć Paryżowi,“ jej napawanie się zapachami obór wystawy rolniczej, jej wieszanie drobiazgów „na wielki dzwon“ i tym podobne wybuchy dziecinnej czy chorobliwej czułości wymagają naiwnego lub grobowego nastroju śród „biesiadników,“ ażeby w nich nie odbrzmiały jako mimowolny humor.

Pewien młodzieniec, czujący „parcie“ do zawodu literackiego, przysławszy mi jeden dramat, jedną powieść i dwa wiersze rymowane, pyta mię o radę, w którym kierunku ma się zwrócić. Przejrzawszy próby, radzę mu i wszystkim do niego podobnym... reporterę. Zamiast bowiem podrzucać literaturze niedonoszone lub kalekie płody, lepiej chwytać nowiny i sprzedawać dziennikom, które lepiej za nie płacą, niż kupcy za trufle. Dziś reporter warszawski lekką głową zarobić może 3000 rs. rocznie! O matko, która rozmyślasz po nocach, co zrobić ze swym synem, ani wiesz, jak on łatwo zdobyłby chleb dostatni! Niech się strzeże muz, natchnień, wiedzy, bo nie zarobi na buty; niech donosi o wściekłych psach, pijanych ludziach, skandalach, bijatykach, rozpuście, a nadewszystko o morderstwach—to interes dobry, to zyskowny towar! „Pojęcia i uczucia, śród których żyjemy, bywają nieraz w umyśle naszym przeszkodą do rozumienia historyi“ (Kalinka) — za taki wiersz groszy 3.

„Wczoraj stróż domu X. wybił trzy zęby swej żonie“ — za taki wiersz groszy 10.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Zabójstwa złodziei i słówko w ich obronie. — Chaos stosunków wiejskich.—Żywioły demokratycznej inteligencyi.—Spuścizna po Jachowiczu.—Kampania przeciw felczerom. — Odezwa do kobiet. — Wynalazki. — Kamień filozoficzny znaleziony na drodze.—*Perpetuum mobile.*

Odrazu w ciągu jednego tygodnia z czterech stron kraju nadeszły wiadomości o zabójstwie czterech koniokradów przez rozjątrzonych włościan. Przebieg tego dramatu każdemu wiadomy: schwytanie złodzieja na gorącym uczynku, albo po prostu w miejscu ustronnem, bicie z „całego serca,“ czasem dla rozmaitości męczarnie w rodzaju wbijania drzazg za paznokcie, parzenie pięt ogniem itd., potem wreszcie sąd i ostateczny finał—tam gdzie są przysięgli—zupełne uwolnienie sprawców występku, w innym razie—lekka, nieznaczna kara. Wszystko to jasne, zrozumiałe, proste, każdy czuje, że sąd inaczej postąpić nie może. Nawet gazety nasze, nieodznaczające się bynajmniej wygórowanym humanizmem, a na każdego ulicznego rzezimieszka, na każdą babę, która zbiera jagody lub grzyby w pańskim lesie, rzucające pioruny i wołające do kogo należy: ukrzyżuj ich, ukrzyżuj ich!—w tym razie po chrześciańsku gotowe są przebaczyć mordercom, zwłaszcza że ofiarą kradzieży bywają nietylko chłopskie, ale i szlacheckie konie.

Wyznaję, że i ja przez długi czas podzielałem to humanitarne zapatrywanie, bo pojmuję rozpacz chłopa, któremu zabrano ostatniego konia, pozbawiając go w ten sposób jedynego środka do życia. Ale raz wpadła mi w ręce powiastka, a raczej obrazek, w którym z przejmującą prawdą i olbrzymią siłą talentu odmalowane było życie takiego koniokrada, od sierocej kolebki przez szereg upokorzeń, nienawiści, upodleń aż do tragicznej śmierci w rodzinnej wiosce, pod ciosami swoich współbraci. Wrażenie, jakie z odczytania wyniosłem, skłoniło mnie do zastanowienia się poważniejszego, i dziś, wraz z autorem obrazka pojmuję, że gospodarska aureola, otaczająca łeb konia, zaćmić może poczucie moralne w sercach ludzkich, tem więcej, że uświęca ją jednozgodny wyrok pp. sędziów i pp. zabójców, pragnąłbym jednak usłyszeć i głos pp. złodziejów. Kto wie, a może też oni znajdą coś do powiedzenia na swą obronę? Dlatego to, żałując pokrzywdzonego chłopa i rozgrzeszając do ostateczności doprowadzonych mimowolnych morderców, lituję się i nad zamordowanym złodziejem, zwłaszcza że jest on tylko narzędziem w sprytniejszych rękach przedsiębiorców, którzy unikają wszelkiej kary.

Czyż zresztą chłop może podnieść się do zrozumienia wyższych dążeń? Ludzie bezstronni przyznają mu duszę i serce, ale zarazem dodają:

> Nie syp pereł przed chłopa, nie zna ich wartości,
> Za to z Częstochowy przywieź mu świętości,
> Wzrok podniesie do nieba, twa dobroć go wzruszy,
> A co..? Czy to nasz wieśniak niema serca, duszy?

Tę prawdziwą „perełkę“ wyłowił *Korespondent płocki* w niewydanej spuściznie literackiej po Jachowiczu. Niema co mówić, ładnie przysłużył się nieboszczykowi!

Z lekkiej ręki warszawskich doktorów zaczęła się kampania przeciw felczerom, w której przyjmują udział i korespondenci prowincyonalni. Złośliwi utrzymują, że przyczyną tej zaciętej walki jest po prostu zazdrość profesyonalna. Ja nie idę tak daleko i zasyłam tylko do mężnych rycerzy nauki medycznej maleńką prośbę. Szanowni panowie! Znoście sobie felczerów w Warszawie, ale pozostawcie ich na wsi, zwłaszcza że nie macie w tem żadnego interesu. Wasza światła pomoc kosztuje zbyt drogo i chłop nie uda się do was po radę, tylko w braku felczera sprowadzi sobie znachora. Z dwojga złego wybieram mniejsze. Czyż zresztą felczerzy są bezwzględnie złem? Pozwalam sobie o tem wątpić, jakkolwiek moje wiadomości medyczne ograniczają się tem jedynie, iż w ciągu niedługiego żywota spożyłem całą masę lekarstw, które nie zdołały zniszczyć mocnego z natury zdrowia. W jednym i tym samym numerze *Gazety polskiej* korespondent kowieński piorunuje na felczerów i oskarża ich o całą litanię zbrodni, a miński—nie szczędzi im pochwał, utrzymując tylko, że są przeciążeni pracą. Ponieważ nie sądzę, żeby wpływ warunków geograficznych był w tym wypadku decydującym, biorę pośrednią prawdę. Dobry felczer wart co najmniej kiepskiego lekarza. Lepiej więc postarać się o przyzwoitych felczerów, zreformować odpowiednio szkołę, podniósłszy poziom wymaganych od uczniów kwalifikacyj. Włościanin, pomimo kosztów, woli jeszcze felczera dlatego, że jest on dlań przystępniejszym: pogada z nim, wytłomaczy mu odpowiednio do jego pojęć przyczynę choroby i jej skutki, obejdzie się z nim po ludzku. Przedział pomiędzy nimi jest mniejszy—to rzecz główna, koszta grają podrzędną rolę. Dlatego chłop woli również pokątnego doradcę, niż światłego adwokata, rozum organisty ceni wyżej, niż wiedzę księdza. W Rosyi ziemstwa przygotowały cały zastęp nauczycieli, felczerów, akuszerek, którzy spełniają właściwie swe obowiązki i tworzą zawiązek prawdziwie demokratycznej inteligencyi. Czyż my nie potrafimy zdobyć się na nic więcej, tylko na nauczycieli, co pozywają uczniów do sądu o obelgi felczerów za dwa złote robiących chłopu „kuntentność“ upuszczeniem krwi i akuszerki, zajmujące się specyalnie duszeniem niemowląt? Czy jesteśmy tak bogaci, że przepłacać możemy doktorów i uniwersytety*) dla kobiet, kiedy tysiące bab wiejskich rodzi przyszłych obywateli bez asystencyi akuszerskiej i wynikłe stąd wadliwości organizmu leczy za pomocą obręczy? Zostańcie więc piękne panie nauczycielkami, felczerkami, akuszerkami; da wam to i kawałek chleba i poczucie uczciwego spełnienia obowiązków. Ciężka to i nieestetyczna, ale obywatelska praca.

Wtedy to może zbrakłoby szczerych autorek w „kwestyi małżeńskiej“, dla których celem tej instytucyi jest: 1) X i 2) dobre utrzymanie. Z dziewic tych robią się potem przy odpowiednim udziale płci brzydkiej matrony, którym wielką by oddał przysługę p. Płotnicki, zastosowawszy swój inkubator dla wylęgania kurcząt do odpowiedniego wychowywania dzieci. Przy pomocy wspomnianego aparatu czynność kwok sprowadza się tylko do niesienia jaj, wylęganie odbywa się sztucznie. Gdyby podobny wynalazek znalazł zastosowanie w sferze stosunków ludzkich, panie nasze, oprócz wydania na świat niemowląt, resztę swobodnego czasu poświęcić by mogły ćwiczeniom w tańcu, teatrom, koncertom i odpowiednim czynnościom, pośrednio lub bezpośrednio mającym na celu powiększenie rodu ludzkiego.

Zbliżająca się wiosna nietylko budzi rozkoszne drżenia w piersiach młodych osobników obu połów ludzkości, ale zarazem psuje do reszty drogi prowincyonalne, które i podczas zimy nie odznaczają się świetnym stanem. Według praw przyrody organizmy wyższe zabijają niższe, nie więc dziwnego, że i kolej żelazna dąbrowska wywołała zniesienie kilku dróg szosowych. Okoliczni obywatele, jako zagorzali konserwatyści, protestują przeciw temu rozporządzeniu i wyznać trzeba, że mają zupełną racyę. Sieć kolejowa wtedy tylko spełnia swe zadanie, kiedy odpowiednio zasiloną jest drogami podjazdowemi. Dla nas literatów szosy mają inne jeszcze znaczenie. Prostoduszny prowincyał ani się domyśla, że w pokrywających je kawałkach piaskowca znaleść można nieraz filozoficzny kamień wszechwiedzy, który pozwala zwyczajnemu pisarzowi od szabru uprawiać *rolę* publicystyki, *niezależnie* od wymagań zdrowego rozsądku i stać się wreszcie *kamiennym* słupem, czyli posągiem narodowej sławy.

Poprzednio wyraziłem nadzieję, że znajdzie się śród nas dowcipny wynalazca, który zastosuje inkubator do hodowli rodu ludzkiego. Teraz mam prawie pewność w tym względzie, bo właśnie niejaki p. Aleksander Kwieciński z Kijowa ogłasza wszem wobec, że wymyślił *perpetuum mobile* i wzywa „krewnych swoich i żoninych“ do zasilania go odpowiednim na ten cel funduszem. Oto, do jakich szczytów dochodzi nasz samorodny geniusz, nie skażony fałszywą, zamorską nauką.

Nil.

*) Dotąd nie przepłacamy. *Red.*

Kijów, 29 lutego.

Rozpoczęły się tedy kontrakty. Oczywiście straciły one zupełnie i oddawna charakter jarmarku, na który niegdyś zjeżdżała się szlachta dla interesów i kupna zapasów domowych. Dziś stały się zgromadzeniem cukrowarów i ludzi jakikolwiekbądź związek z przemysłem cukrowym mających. Przybrały też postać odpowiednią: na każdym kroku spotykamy, obok wołów roboczych, patrycyuszów giełdowych, ex-ogrodników, ex-kowali, exstolarzy i rozmaitych innych poszukiwaczy szczęścia z nad Sekwany czy Sprei, porosłych w pierze na naszym chlebie. Gdyby to nie było paradoksem, możnaby, patrząc na wyszargane suknie, blade twarze, bojaźliwe zachowanie się urzędników prywatnych, poszukujących zajęcia i służby, przypuścić, że praca bogaci i tuczy tylko tych, którzy najmniej pracują, a ci, którzy milionów krajowi przysparzają, wiecznie walczą o jutro, o chleb powszedni i żyją w codziennem ubóstwie. Pragnąc stworzyć jakąś instytucyę, któraby opiekowała się interesami urzędników prywatnych, wypracowałem wspólnie z innymi projekt stowarzyszenia na wzór istniejącego w Galicyi; pisałem nawet o tem w jednem z pism przed dwoma laty, myśląc, że ogół nieco tem zajmę; ale wszystko poszło w zapomnienie. Powiedziano nam, że projekt nie na czasie, więc i do zatwierdzenia podany nie został.

Może dziś będzie na czasie. Właśnie roku zeszłego „Montrakty P. Waldow“ zaproponował na posiedzeniu Towarzystwa technicznego utworzenie jakiegoś związku dla zabezpieczenia urzędników pracujących przy fabryce. Pomysł ten urósł i rozszerzył się teraz do tego stopnia, że i urzędnikom gospodarczym łaskawy kącik zapewne zostawią —w projekcie. Teraz ta kwestya jest rozbieraną na zebraniach Towarzystwa, nie więc o niej stanowczo mówić nie chcę, dopóki się cała sprawa nie skończy. Słówko tylko o celach *Towarzystwa samopomocy urzędników prywatnych*: (gdyż taki byłby tytuł) — kapitał ma się zebrać głównie dla udzielania pensyi urzędnikom niezdolnym do pracy, a jego część ma służyć na zapomogi potrzebującym; emerytura będzie zależała od wysokości wkładów, które się normuje do 10% od pobieranej pensyi. Kapitał Towarzystwa nie może być użyty na cele spekulacyi, ale włożony w papiery państwowe. Oto zasady—nie nowe. Jak się ureguluja szczegóły — zobaczymy. Bądź co bądź, nie można nie ganić tej apatyi, jaką okazują kapitaliści, ile razy idzie tylko o pomoc urzędnikom, boć ci biedacy dla nich przecież złoto kopią. Ale na to, podobno, nie prędko rada się znajdzie.

Drugie Towarzystwo kijowskie—rolnicze rozwija bardzo energiczną i chwalebną czynność i już obecnie zdołało zgrupować koło siebie najwybitniejsze prawie siły umysłowe w kraju. Gościnne

salony księcia Repnina i jego uprzejmość gromadzą nietylko na oficyalne posiedzenia, ale i na prywatne gospodarskie gawędy rolników. Dziś otwartą została w Kijowie wystawa nasion gospodarskich, kosztem Towarzystwa rolniczego podjęta i urządzona. Jakkolwiek obecnie niewielu jest jeszcze uczestników, cieszymy się nadzieją, że przecie rolnicy zrozumieją tę korzyść, jaka bezpośrednio płynie z celu wystawy, mającej powtarzać się corocznie. Towarzystwo mianowicie pragnie ułatwić gospodarzom kupno nasion do siewu, poręczając do pewnego stopnia gatunek, dobroć i świeżość towaru, a także usuwając, o ile można, pośrednictwo żydowskie. Przedostatnie dwa posiedzenia były bardzo ożywione. P. Kamiński zdawał sprawę z podróży swojej za granicę dla zawiązania stosunków handlowych i wogóle pewnej łączności między wybitniejszymi producentami nasion traw, towarzystwami, stacyami itd. Zwiedził także w Warszawie stacyę oceny nasion, Kluszgórnę pod Krakowem i w. i. Tegoż samego dnia ks. Repnin czytał sprawozdanie niezmiernie ciekawe o wynikach fabrykacyi cukru z Sorgo. Postanowiono również stworzyć przy Towarzystwie rolniczem stałą wystawę narzędzi rol. na sprzedaż. Nie ulega wątpliwości, że wystawa taka, dająca nabywcom 10% rabatu i rękojmię co do wyboru, bardzo będzie w praktycznem znaczeniu korzystną. Ileż to razy kupują gospodarze narzędzia na słowo pierwszego lepszego komisanta lub poczciwego sąsiada, a potem wymyślają na cały świat i żałują pieniędzy. Referat był bardzo starannie opracowany przez p. Szląskiewicza.

Na zakończenie zdecydowano jeszcze naznaczyć konkurs narzędzi do obrobienia buraków cukrowych i zaprosić do niego wszystkie wybitniejsze firmy niemieckie, francuskie i polskie. Komisya urządzająca, do której składu weszli pp. Żelechowski, Buszczyński. Fr. Gawroński, Miecz. Drzewiecki, Buszyński i P. Trytschel naznaczyła dla konkursu majątek Braiłów ks. Gorczakowa i zajęła się opracowaniem projektu i rozpisaniem listów zapraszających na 30 maja s. s.

Widać więc z tego, że ruszamy się potrosze, czyli — żyjemy. Obok rzeczy poważnych nie brak i wypadków humorystycznych. Pewien obywatel, mający zwyczaj często załatwiać sprawy nieoztropnie, zapomniał na biurku u jednego z interesantów, do którego pisał kilka słów, niezastawszy go w domu, pugilares z okrągłą sumą 200 tys,, ale podobno weksli. Opatrzywszy się, wrócił, ale pugilaresu nie było. Ta sama nieprzytomność, która go naraziła na stratę, była również powodem, że, wróciwszy, zapomniał zapytać służącego, czy ten pugilaresu nie znalazł. Po kilkakrotnem bieganiu, jak kot z pęcherzem od domu do domu, zagadnął nareszcie służącego, który myśląc, że pugilares należy do jego pana, włożył go spokojnie do biurka. Wszystko tedy było w całości. Opowiadają, że wspaniałomyślny obywatel, nagradzając głupiego, ale wiernego sługę, dał mu — dwa złote... I słusznie — na co służącemu więcej! Co dalej będzie — napiszę.

Fr. R.

Częstochowa. Sprawa zamiany progimnazyum tutejszego na gimnazyum klasyczne została pomyślnie ukończoną. Ministeryum oświaty zgadza się otworzyć 7 i 8 klasę za dopłatą ze strony miasta 1,000 rs. jednorazowo i 4.300 rs. rocznie. Poprzednio na otwarcie 5 i 6 klasy mieszkańcy złożyli 5,000 rs. i zobowiązali się płacić rocznie 4,000 rs.; słusznie więc domagają się teraz, żeby dzieci ich miały pierwszeństwo wprzyjmowaniu do szkoły.

Koło. Z powodu zamieszczonej w nrze 8 wzmianki o szkole realnej w Kole, nadesłano nam sprostowanie. Okazuje się, że na budowę gmachu potrzeba 24,000 rs., na co już 17,000 rs. bądź to gotówką, bądź w materyałach budowlanych wniesiono. P. Zaleski rejent nie pożyczył, jak to powtórzyliśmy za innemi pismami, ale darował 3,200 rs.

Końskie. Korespondent *Wieku* donosi o strasznej nędzy w tamtych okolicach. Pomimo zarobków przy budowie kolei dotychczas jeszcze zgłasza się mnóstwo kandydatów do służby. Żebractwo wzrosło znacznie a ceny robotnika zeszły do minimum, natomiast produkty wszystkie strasznie podrożały.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 5 marca.

Rezultaty praw wyjątkowych w Austryi. — Walka między reakcyą i anarchią. — Odebranie Tokaru. — Reforma wyborcza w Anglii. — Drobne sprawy.

Jak to było do przewidzenia, prawa wyjątkowe w Austryi nie pomogły wcale do uśmierzenia objawów anarchicznego ruchu. Socyaliści przenieśli gazety do Pesztu i dziś już jest mowa o rozciągnięciu ustawy zapobiegawczej i do stolicy węgierskiej. Wtedy zapewne żywioły rewolucyjne znajdą inną, odpowiednią dla swej działalności miejscowość i wreszcie wypadnie chyba całe państwo ogłosić w stanie oblężenia. Aresztowania trwają ciągle, w Peszcie, w mieszkaniu redaktora Pragera znaleziono podobno wskazówki, że zabójstwo bankiera Eiserta było dziełem socyalistów a w Wiedniu ujęto niejakiego Kammerera podejrzanego o zabicie Hlubeka. Zatrzymany na ulicy wystrzelił kilkakrotnie i zranił trzech policyantów. Policya kazała gazetom o tem milczeć, ażeby jej nie przeszkadzały w łowach.

W Londynie przypadkowo odkryto masę materyałów wybuchowych i odpowiednie przyrządy, a nawet w spokojnym Poznaniu miało miejsce coś w rodzaju zamachu, który skończył się lekkiem pokaleczeniem urzędnika pocztowego, otwierającego podejrzany pakiet. Wobec wzmagającej się powszechnie reakcyi żywioły anarchiczne podnoszą głowę i zuchwale rzucają rękawicę istniejącemu porządkowi rzeczy; w walce tej spokojne i umiarkowane partye skazane są tylko na rolę bezczynnych widzów. Półurzędowe gazety niemieckie coraz wyraźniej nawołują rządy do ogólnej krucyaty przeciw Francyi, której na wypadek tryumfu stronnictw radykalnych otwarcie grożą zbrojną koalicyą i restauracyą monarchii Orleanów. Nawet Anglia, przestraszona ciągłymi zamachami, zwróciła się do rządu Stanów Zjednoczonych z wezwaniem do położenia tamy działaniom rewolucyonistów, ale wobec znanej uchwały Izby waszyngtońskiej nota owa nie może mieć powodzenia.

Wojska angielskie wystąpiły wreszcie przeciw powstańcom sudańskim i po krwawej walce odebrały napowrót Tokar. Tryumf jednak nie był łatwy i kosztował więcej, niż łatwe zwycięstwa nad wojskiem Arabiego paszy.

W Izbie gmin zaczęły się rozprawy nad bilem reformy wyborczej. Dotychczas po wsiach z prawa politycznego korzystali tylko właściciele ziemi i dzierżawcy; nowy bill nadaje go i robotnikom rolnym przy pewnych warunkach, powiększając tym sposobem liczbę wyborców o dwa miliony. W 1882 r. było ich w Anglii 3,134,800, teraz będzie przeszło 5,000,000 na 35 milionową ludność. Nie jest to jeszcze głosowanie powszechne, ale stanowczy krok na drodze do jego urzeczywistnienia. Wadą nowego prawa jest to, że zwiększając ilość wyborców, nie powiększa odpowiednio liczby posłów i nie zmienia granic okręgów wyborczych. Niesprawiedliwy podział i zbyt mała liczba deputatów występują głównie w Irlandyi, ale tam właśnie rząd angielski nie życzy sobie żadnej zmiany, któraby wzmocniłaby tylko szeregi jego przeciwników.

W Izbie francuskiej sprawy wewnętrzne stanowią dziś również środek ciężkości. Spory idą o zwiększenie budżetu ministeryum oświaty, a głównie o podniesienie szczupłych pensyi nauczycieli elementarnych. Ferry w zasadzie zgadza się na projekt, ale żąda odroczenia z uwagi na znaczne koszta wyprawy tonkińskiej. Wypadku głosowania trudno przewidzieć, bo opozycya, na czele której stoi Paweł Bert, spodziewa się przeciągnąć do siebie wielu zwolenników rządu.

We Włoszech gabinet Depretisa o mało nie upadł. Powodem było głosowanie nad ustawą uniwersytecką. wniesioną przez ministra oświecenia Baccelli. Izba odrzuciła ją, ministrowie zrazu chcieli się podać do dymisyi, ale potem wytłomaczyli sobie, że głosowanie było tajnem, więc nie obowiązuje do niczego.

Porta odwołała gubernatora chrześcianina Fotiadesa beja a na miejsce jego zamianowała mahometanina Riffata paszę. Z powodu tego panuje wielkie oburzenie pomiędzy ludnością.

Sąd parlamentarny w Christanii skazał ministra Selmera na usunięcie z urzędu i karę pieniężną za naruszenie konstytucyi. Kiedy sprawa się ukończy (wszyscy prawie ministrowie oddani są pod sąd) powiemy o niej obszerniej.

CUDZE GŁOSY.

Szlachcic i giełda. Dwa pojęcia, niemające na pozór nic z sobą wspólnego, które jednak sprzęgły się w Galicyi ostatnimi czasy serdecznie. Nie pomogło nieszczęście r. 1866—nie odstraszył krach r. 1873! Szlachta gra. gra hazardownie, spekulując wprawdzie już nie na papierach giełdowych, ale na zbożu, co w rezultacie na jedno wychodzi.

„Jeżeli co—krytykuje *Reforma* — to ten pomysł gry na giełdzie zbożowej był niewątpliwie bardzo niefortunnym. Trzeba być bardzo rutynowanym w handlu zbożowym, aby z jaką taką, choćby przybliżoną tylko pewnością siebie, oparta na obliczeniu przyszłych konjuktur, wdać się w grę na giełdzie zbożowej. Amatorska znajomość targu i zmiennych jego warunków żadną miarą tu nie wystarczy.

A czyż między ziemianami jest wielu takich, którzyby z targiem zbożowym byli dokładnie obznajmieni? Najlepszym dowodem, że ich bardzo mało, jest smutny stan naszego handlu zbożowego, z którego *tylko* za pomocą spółek rolniczych choć trochę wydobyć go można, jest dalej fakt, iż niesłychanie trudno znaleść ludzi, odpowiednich do zarządu tych spółek. Zamiast o to się starać, zamiast do tworzenia spółek takich wziąć się z całą możliwą energią i gorliwością i w ten sposób byt ekonomiczny producentow zboża *trwale* polepszyć—wielu ziemian naszych dało się opanować fatalnej manii gry. Podsycali ich w tem nieuczciwi spekulanci wiedeńscy, zapewniając o możności sprzedaży pszenicy po znacznie wyższych cenach. Nadzieja rychłego zrobienia znacznych zysków popchnęła ziemian do tak nienaturalnej spekulacyi, że ci, którzy są głównymi producentami pszenicy, zakupowali ją w bardzo znacznych ilościach (po 10—20 tysięcy korcy). Od kogo? Od tych, którzy są głównymi jej odbiorcami!..."

Rozczarowanie nadeszło niebawem... Cena pszenicy spadała nieustannie i szlachta galicyjska musiała ostatecznie zapłacić spekulantom wiedeńskim kilka milionów. Klęska ta odbije się bezwątpienia i na reszcie mieszkańców kraju, że zaś przesilenie jeszcze nieskończone, radzi *Reforma* interesowanym zawczasu „połę uciąć" i nie hazardować się dalej, chociażby poszła pszenica w górę.

Nieprzyjemne wspomnienie. Gdy poseł Wierzbinski w sejmie pruskim skarżył się na surowość sądów niemieckich w wyrokowaniu przeciw redaktorom polskim w Poznaniu (którzy prawie wszyscy siedzą w więzieniu). odparł ze strony postępowej Richter:

„Zbyt jestem oddalony od stosunków poznańskich, ażebym mógł ocenić, o ile te skargi polaków są usprawiedliwione, w każdym razie żałe co do ścieśnienia prasy zrobiłyby na mnie większe wrażenie, gdyby panowie polacy w sejmie rzeszy nie zdecydowali swymi głosami nowego o-

graniczenia swobody prasy. Gdy sejm odrzucił w drugiem czytaniu ograniczenie kolportażu druków, panowie ci stawili się licznie i przeważyli szalę. Nie powinniście się dziwić, jeżeli przez politykę uczuciową wzywacie policyi, że polityka uczuciowa wmiesza się tu i owdzie do wyroków sądowych.“

Wprawdzie poseł Jażdżewski tłomaczył, że jego rodacy postąpili tak dla powstrzymania w Poznańskiem napływu lichej literatury niemieckiej, ale nie powinni bronią zakazów wojować ci, którzy od niej giną. Richter, mimo swego liberalizmu, germańskie pazurki ku poznańczykom wysuwa, ale w tym wypadku miał racyę, tem większą, że trudno przypuścić, ażeby ograniczenie kolportażu było użytem przeciw literaturze niemieckiej.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Odczyt p. Marrené „O miłości.“ Pojęcie o miłości i charakter tego uczucia zmieniają się i przekształcają wraz ze zmianą stosunków społecznych i ogólnego tła epok. Starożytni w zapałach miłosnych widzieli wyraźne objawienie się woli bogów; stąd kochankowie takim niemal cieszyli się szacunkiem, jakim w czasach późniejszych otaczano ludzi natchnionych i... opętańców. Takie pojmowanie rzeczy uwalniało ofiarę Erosa od wszelkiej osobistej odpowiedzialności — nawet za miłość nieprawą. Oblężenie Troi nie miało na celu ukarania Heleny, którą małżonek po skończonej wojnie do dawnej przywrócił roli. Niepoczytalność osobista niewiernych żon wypływała jeszcze i z ówczesnego niskiego stanowiska kobiety w społeczeństwie: nie karano jej tak, jak nie karci się wołu za to, że się dał uprowadzić złodziejom. Istotę i okrasę uczucia starożytnych stanowi ogień namiętności zmysłowych. Helena i Parys są najlepszem ich ucieleśnieniem.

Ascetyzm wieków średnich rodzi żądzę, potrzebę ideałów. Powszechne naówczas zepsucie obyczajów i względnie dziś jeszcze niski poziom umysłowego i społecznego stanowiska kobiety potrzebie tej zadość uczynić nie mogą. Rozdźwięk taki pomiędzy światem wewnętrznym i zewnętrznym mężczyzny wprowadza do miłości nowy pierwiastek — sentymentalizm. Jest on wynikiem idealizowania postaci niewieścich i potęgując się stopniowo ruguje z uczucia pierwiastek zmysłowy. Stąd miłość platoniczna rycerzy. Typową parę kochanków tej epoki przedstawiają Petrarka i Laura. W wieku XVIII oba pierwiastki, cielesny i duchowy, łączą się ze sobą na gruncie racyonalizmu, który dla obojga stara się wynaleść prawo bytu za pomocą rozumowania. Najwierniejszem odbiciem takiej miłości jest *Nowa Heloiza*.

Wiek dzisiejszy wskutek różnorodności swych pragnień, celów i prądów nie zdołał jeszcze ani w życiu, ani w literaturze wytworzyć typu miłości o tyle ogólnego, aby ten za wierną charakterystykę swego czasu mógł być uważanym. Najważniejsze jednak zmiany, jakich w państwie Kupidyna spodziewać się można, wynikną niewątpliwie z równouprawnienia kobiety.

Wyższa szkoła dla kobiet w Poznaniu posiada bardzo ograniczony program, bo dotyczący tylko zajęć handlowych. Obecnie kierownik tego zakładu dr. Szafarkiewicz zamierza rozszerzyć kurs przez wprowadzenie wykładu nauk przyrodzonych, hygieny, estetyki i rysunku.

Pomnik. Złożono komitet, mający zająć się wzniesieniem pomnika Sarbiewskiemu. Pomnik stanie w kościele św. Jana.

Zjazd historyków i archeologów polskich odbędzie się we Lwowie w sierpniu lub wrześniu: podzieli się on na 4 sekcye: antropologiczną, archeologiczną, artystyczną i historyczną. Przedmiotem rozpraw mogą być być tylko rzeczy, dotyczące wschodniej Galicyi. Językiem wykładowym w odczytach i dyskusyach może być polski lub ruski.

Nowy szpital. Przedstawiciele gminy izraelskiej na wniosek dra Natansohna postanowili wybudować nowy szpital dla starozakonnych, ponieważ istniejący nie odpowiada wymaganiom hygieny. Fundusz potrzebny ma być zebrany przez wypuszczenie obligacyj.

Starsi stróże, podobnie jak w Petersburgu, mają być na przyszłość i w Warszawie. Będzie ich po dwu w każdym rewirze. Mają oni pomagać policyi w kontrolowaniu ruchu ludności itp. zajęciach.

Nowy wynalazek Pasteura. Znakomitemu francuskiemu uczonemu udało się znaleść środek przeciw wściekliźnie. Szczegółowy opis złożył on Akademii paryskiej. Będzie to zapewne, wnosząc z poprzednich prac jego, zapobieganie za pomocą szczepienia osłabionego jadu.

Sprostowanie. Znana spirytystka, autorka prac, traktujących o Indyach, p. Bławacka, którą pisma nasze uporczywie robią polką—jest rosyanką i, co więcej, wielbicielką i współpracowniczką p. Katkowa, właściwie nazywa się ona Bławatska.

Zakaz. Departament dochodów celnych zabronił przywozu z zagranicy bibułki do papierosów, ozdobionej etykietami, na których znajdują się portrety Sobieskiego, Stahrenberga, Liebenberga i napis: oswobodziciele Wiednia. Zakaz ten motywowany jest żądaniem dep. policyi państwowej.

Uniwersytet petersburski liczy 248 studentów polaków, stanowi to 12% ogólnej liczby słuchaczów.

Zmarli. Wład. Klugier, znany inżenier, urodzony w Krakowie w 1849 r. po ukończeniu nauk w Paryżu udał się do Peru i był profesorem w szkole politechnicznej w Limie oraz kierował robotami inżenierskiemi w kilku przedsiębiorstwach rządowych. Nakładem Tow. nauk ścisłych w Paryżu wyszły dwa jego dzieła: *Wykład hydrauliki i teoryi machin wodnych* i *Wykład wytrzymałości materyałów i stałości budowli.* Jednocześnie zajmował się badaniami przyrodniczemi i napisał *Listy z Peru.* Przed paru laty, trawiony chorobą wrócił do kraju. Umarł na suchoty w San Remo.

Bibliografia polska. Ludwik Büchner *Dziedziczność i jej wpływ na moralny i umysłowy postęp ludzkości.* Warszawa. Wydawnictwo *Wędrowca.*

— Adam Staszczyk *Wiara, miłość i nadzieja.* Obrazek narodowy w 4-ch aktach. Warszawa, G. Centnerszwer.

— St. Sobieski *Zgubiono!* Raciąż, Księgarnia ludowa J. Meyznera.

— A. Sygietyński *Na skałach Calvados.* Warszawa, Lesman i Świszczowski.

— W. Szymanowski *Poezye i dramata* tomów 5, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— *Perły humoru polskiego*, zeszyt II, Kraków. Bartoszewicz.

— E. Orzeszkowa *Z życia realisty*, Warszawa. S. Lewental.

Bezrobocie adwokatów. W Brunświku z powodu, że sąd rozpoczynał zwykle posiedzenia później o godzinę, aniżeli należało, adwokaci zmówili się i wyszli z posiedzenia. Sprawy zostały odłożone.

Policya wiedeńska na mocy praw przeciw socyalistom zabroniła urządzenia w stowarzyszeniu *Ogniska* wieczorku muzykalnego na cześć Kochanowskiego. Dopiero po długich usiłowaniach udało się znieść zakaz.

Palenie ciał we Włoszech upowszechnia się coraz więcej: w Medyolanie spalono 271, w Lodi 25, Brescii 17, Rzymie 15 itd. Ministeryum marynarki zbudowało piec kremacyjny przy szpitalu w Spezli.

Ruch rolny. Poprzednio wzmiankowaliśmy o zaburzeniach w okolicy Nowo-Czerkaska; pomimo przybycia wojsk włościanie napadają na dwory obywatelskie z bronią w ręku, uszcza budynki i lasy. Część ich zbiegła i sformowała bandy, które stawią czynny opór. W sprawie tej sąd wojenny prowadzi energiczne śledztwo.

Statystyka. Gubernia lubelska liczy 868,544 mieszk. z nich w Lublinie zamieszkuje 36,543.

OFIARY.

Dla studentek polek w Petersburgu. U. G. z B. rs. 41 k. 25; od kółka znajomych rs. 20.

Na wpis dla uczniów. Ci co skończyli gimnazyum III w roku 1882 rs. 14.

Sprostowanie. Jesteśmy proszeni o sprostowanie wiadomości podanej w „Jasełkach krakowskich“ na tyle, że oskarżony Skrzyński nie pochodzi wcale z Posadowa i nazywa się *Skrzyniak.*

DLA ABONENTÓW „PRAWDY"

Następujące książki prenumeratorowie *Prawdy* nabywać mogą za zniżoną do ²/₃ *w nawiasach* podaną cenę. Nabywcy z prowincyi na pokrycie kosztów przesyłki płacą cenę katalogową, obok umieszczoną.

Do nieznajomej, nowelle z rękopisu znalezionego, przepisał Leopold Mejet, tom I (80) 1.20
Matki i karmicielki. Napisał Antoni Skórkowski (z Medowatej na Ukrainie) (20) 30
O blednicy. Wykład popularny na użytek publiczności nielekarskiej, przystępnie opracował prof. dr. Łucz-[illegible]
O żydach i kwestyi żydowskiej przez Elizę Orzeszkową. Wilno, 1882 (45) 70
Patryotyzm i kosmopolityzm, studyum społeczne Elizy Orzeszkowej (80) 1.20
W ozdobnej oprawie (1.20) 1.80
Pierwszy krok nauki systematycznej dla nauczycieli i wychowawców, ułożył H. Wernic. Wilno 1883 (1.—) 1.50
Poezya w wychowaniu przez dra Piotra Chmielowskiego (20) 30
Pokociło się i dam nogę, scena z życia dwu braci p. E. Orzeszkową (20) 30
Poradnik dla osób wybierających książki dla dzieci i młodzieży p. J. Karłowicza (25) 40
Przesądy wychowania, studyum pedagogiczne przez W. Marrené Morzkowską (80) 1.20
Sąd honorowy, komedya w 5-ciu aktach przez E. Lubowskiego (60) 90
Sylwek Cmentarnik, powieść przez Elizę Orzeszkową (1.20) 1.80
Studya nie z natury p. W. Spasowicza. Wł. Syrokomla. Marcin Matusiewicz jako pamiętnikarz. W. Pol jako poeta, Szekspirowska historya tragiczna o królewiczu duńskim Hamlecie (1.—) 1.50
Typy i obrazki krakowskie nowelle p. M. Bałuckiego (90) 1.35
Wady naszych sadów p. E. Jankowskiego (20) 30
Widma, powieść p. E. Orzeszkową (40) 60
Wł. Syrokomla, studyum literackie p. W. Kościałkowską (35) 50
Z przeszłości, fragmenta dramatyczne (Hypatya, Wesaliusz, Galileusz) (60) 90
W ozdobnej oprawie (90) 1.35

Również dla abonentów „Prawdy" zniżona cena słynnego dzieła Karola Darwina:
O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt, przełożył dr. Dobrski. Dzieło to ozdobione licznymi drzeworytami i światłodrukami. Cena rs. 3, dla abonentów *Prawdy* rs. 2, z przesyłką rs. 2 k. 50.

Nakładem Prawdy
wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena **rs. 1.** (wraz z przesyłką pocztową).

SZKICE KLINA

Część druga

Zeszyt 1: I. **U drogowskazu.**
„ 2 i 3: II. **Po Europie.**
„ 4: III. **Przedesnem**
„ 5: IV. **Żołądek i mózg.** V. **Z trylogii życia.**

Każdy zeszyt sprzedaje się osobno po kop. **35.**

We wszystkich księgarniach w Warszawie.

Skład główny w księgarni **Ludwika Polaka.** 1—3

Skutkiem rozwiązania się Spółki Nakładowej część jej wydawnictw, mianowicie utwory Okońskiego przeszła na własność Redakcyi Prawdy, w której kantorze oraz za pośrednictwem znaczniejszych księgarń nabywać można:

W. Okoński (A. Świętochowski). **Dramata** (Antea, Na targu, Helvia, Błazen, Poddanka, Za maską) rs. 1.
— **O życie** (powiastki: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug) kop. 50.
Nadto:
W. Okoński **Klemens Boruta** powiastka, k. 30.
— **Ojciec Makary** dramat w 3 aktach k. 60.
A. Świętochowski **O powstawaniu praw moralnych** rs. 1 kop. 50. 7—10

Biblioteka matematyczno-fizyczna, wydawana przez M. A. Baranieckiego z zapomogi Kasy pomocy naukowej im. Mianowskiego. Seryi I tom I: **Początki arytmetyki** *M. Berkmana;* cena kop. 65. Seryi I, tomy II i III: **Wiadomości początkowe z fizyki** *S. Kramsztyka;* cena kop. 30 i 45. Seryi III, tom II: **Arytmetyka,** kurs teoretyczny, *M. A. Baranieckiego;* cena rs. 1 kop. 70. Seryi IV, tom IV: **Gieometrya analityczna** *W. Zajączkowskiego;* cena rs. 3. 2—10

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Февраля 1884 г. Redaktor i Wydawca. dr. fil. A. Świętochowski.